№ 25. Warszawa, dnia 19 (7) Czerwca 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

RYZYKOWNA GRA.

W życiu jednostkowem nieraz, a w zbiorowem najczęściej wypadki biegną po sobie koleją, urągającą wszelkiej przewidzianej prawidłowości. Z drobnych rodzą się wielkie, po małoważnych występują doniosłe, objaw pozornie odosobniony ciągnie szeregi innych. Można to widzieć obecnie w Austryi. Cło od nafty rozdarło na chwilę dwie połowy monarchii, wieniec, złożony na grobie dawno poległego generała, wywołał groźne rozruchy, z których zebrała się polityczna burza. Jakkolwiek jej szczegóły są czytelnikom naszym w rozproszeniu znane, uprzytomnimy je wszakże raz jeszcze całkowitym obrazem, który da nam podstawę do ogólnego wniosku.

Ze sporem o cło naftowe, które galicyanie lekko wbili klinem w Austro-Węgry, połączyła się całkiem od niego niezależna cześć, jaką gen. Jansky okazał pamięci zmarłego towarzysza broni, mężnie walczącego przed 40 laty z węgrami. Rzeczywiście, owacya taka w Peszcie, skoro tylko przedostała się na widok publiczny, była obrazą dla patryotyzmu węgierskiego. Gdyby gen. Jansky złożył wieniec na grobie kolegi po cichu i nie popisywał się ze swojem dla niego uznaniem, nie wybitoby mu okien i nie podpalono namiętności tłumu do ulicznych manifestacyj przeciwko austryakom. Na mocny ogień nalał niemądrego oleju minister Tisza, który ostro zganił w parlamencie postępek generała. Jednocześnie arcyksiążę Albrecht, robiąc przegląd wojska, wypowiedział w Serajewie mowę toastową, która podrażniła węgrów, czujących przy jedzeniu przywilejów coraz większy apetyt i marzących o własnej armii. *Pester Lloyd* podciął go za to złośliwym sarkazmem. „Mowa jego tak brzmiała — pisał ów dziennik — jak gdyby 40 ostatnich lat historyi austryackiej wcale dla księcia nie istniało, jak gdyby stała dotąd owa c. k. armia, której ten dostojnik 13 marca 1848 r. pierwszy dał rozkaz strzelania do ludu, lub jak gdybyśmy jeszcze żyli w owym czasie, kiedy Jego Wysokość — zdarzyło się to o 10 lat później — przyjmował deputacyę, która żądała przywrócenia konstytucyi węgierskiej, a której on, uderzając po szabli, odpowiedział nieśmiertelnemi słowami: „*To* jest moja konstytucya." Jakkolwiek naczelny redaktor *P. Lloyda*, na wyraźny rozkaz z Wiednia, arcyksięcia przeprosił i słowa swoje odwołał, mimo to podsycīly one gorączkę antiaustryacką, rozdmuchały zarzewie ulicznych demonstracyj i — zachwiały niewzruszonem dotąd stanowiskiem Tiszy. Cesarz w liście do swego krewniaka wyraził pośrednio niezadowolenie ze swego „zaufanego doradcy."

Odgarniając na bok z całej tej sprawy różne fusy i męty — jak np. cały potok żywiołów zepsutych, karmiących się grabieżą w każdym polityczno-społecznem rozprzężeniu—otrzymamy fakt wzrostu żądań ze strony węgrów odnośnie do ich stanowiska w monarchii. Najbardziej uprzywilejowane ze wszystkich ludów, pieszczochy korony i rządu, obchodzeni przez cesarza i wspólnych ministrów na palcach, nigdy dość nienasyceni w wymaganiach i nigdy nieodprawiani z próżnemi rękami, chcą jeszcze dalej posunąć wyjątkowość swego położenia, mianowicie aż do tej granicy, w której zupełna niepodległość korzysta z dobrodziejstw związku. Przedewszystkiem pragną mieć swoją armię a unię z Austryą ogołocić z wszelkich węzłów i pozostawić jedynie osobistą. Cesarz austryacki ma być nadal królem węgierskim, ale nikt więcej w najszczuplejszym zakresie nie ma panować nad potomkami Arpada.

Trudno dziwić się a tem mniej za złe brać jakiemukolwiek narodowi, że pilnuje swoich interesów i że usiłuje usamowolnić się zupełnie. Węgry jednak prowadzą grę zbyt samolubną i dla nich bardzo niebezpieczną. Chcieliby oni bowiem posiąść wszystkie prawa bezwzględnego samorządu i zarazem wszystkie dobrodziejstwa osłaniającej ich zależności. Nie myślą odrywać się od Austryi, która im zapewnia wiele korzyści, a nadewszystko bezpieczeństwo zewnętrzne, ale zarazem żądają, ażeby spólniczka na ich sprawy nie miała żadnego wpływu i była gotową do ciągłych ofiar. Jest to stosunek niemożliwy i dla zwolenników lwiej części — niebezpieczny.

Węgry bowiem są silne i szczęśliwe w związku z Austryą i tylko w tej spółce mogą być takie.

Usamowolnione całkowicie, oderwane od monarchii, stanowiłyby — jak to ktoś słusznie zauważył — drobną wysepkę na wielkiem morzu słowiańskiem, któreby ją wkrótce zalało. Ani siła liczebna i orężna, ani cywilizacya, ani znana bezpłodność tego szczepu— nic nie uchroniłoby ich od zalewu.

Pod naciskiem prześladowania i praw wyjątkowych prosty biedny słowak umiał szybko wyprzeć lub pochłonąć węgra w każdej wiosce, a cóż dopiero gdyby w spruchniałe drzewo zaczęły wsiąkać pierwiastki żywotniejsze. Co by się stało, gdyby potrzeba było odpierać własną jedynie ręką zamachy i napady zewnętrzne! Wiedzą o tem węgrzy bardzo dobrze i dlatego sta-

rają się utrzymać dotychczasowe połączenie. Ale czy ono wkrótce będzie możliwem? Czy gwałtowny ruch ku samodzielności w przymierzu z ogólnym rozkładem różnolitej Austryi nie wysunie ich z niej zupełnie i nie pozostawi samopomocy? Wyodrębnienie armii, przecinając najmocniejszy węzeł, przybliżyłoby ich znacznie do tego niebezpiecznego Rubikonu. Na ulicach łatwo okrzykiwać słuszność tego przywileju, ale w praktyce mógłby on się okazać koszulą Dejaniry. Ze wszystkich narodów zależnych w Europie węgrzy są najszczęśliwsi — pomnażać to szczęście powinni, ale nie narażać go ryzykiem — również. Co posiadają — wiedzą, a posiadają wiele, tyle mają do stracenia a do zdobycia już bardzo mało. Nie należy więc na kartę stawiać wszystkiego, jeśli nawet odgrywać się trzeba.

KONIEC.

Tak przynajmniej zdaje się, że w roku bieżącym nastąpił już koniec fabrykacyi praw wyjątkowych przeciwko polakom w Prusach. Izba bowiem panów uchwaliła dodatkowy etat na wzmocnione szczepienie niemczyzny w Poznańskiem za pośrednictwem szkoły. Cichy przybytek milczenia i kiwania głowami, dmuchając miechem rządowi w ogień, który posłuży do rozgrzewania żelaza, wypalającego polskość w organizmie pruskim, zawrzał gniewem. Kowala bowiem, min. Goslera, zaatakowali dwaj obrońcy skazanych na operacyę — Józef Kościelski i Ferdynand Radziwiłł.

Kościelski rzekł: Protestuję, jako polak i obywatel państwa, gdyż projekt wyłącza nas z praw ogólnych, a nadto zapowiada zgubne skutki powszechne. Słyszymy ciągle o jakiejś agitacyi polskiej, podczas gdy bronimy się tylko od zagłady. Powódź ustaw wyjątkowych nie osiągnie swych celów: narodowo nas wzmocni, bo rozbudzi naszą energię i przyjaźnie nastroi dla nas opinię publiczną. Jeżeli zaś poniesiemy straty na polu ekonomicznem i społecznem, to dotkną one również niemców. Spustoszycie dwie prowincye, a spustoszenie to odbije się na całem państwie. Teraz rząd jawnie oświadcza, że szkoły nie uważa jedynie za rozsadnik wiedzy, ale narzędzie polityczne. Sprowadzicie do nas nauczycieli zepsutych moralnie, bo uczciwi nie przyjdą na posady, na których muszą być denuncyantami, dręczyć dzieci i robić z nich umysłowe kaleki. Zarzucacie innemu państwu, że tam podoficer może być mianowany nauczycielem, a sami postępujecie gorzej. Wasz system winien, że rekruci nie umieją po niemiecku. Niedawno pewien chłopiec, zapytany przezemnie, co znaczą słowa: „Heil dir im Siegeskranz,“ odrzekł, że to znaczy po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Polityka wasza sprawiła to, że nasza młodzież, która dawniej chętnie uczyła się po niemiecku, dziś nienawidzi niemczyzny. Polityka to bardzo nieroztropna, zwłaszcza, że kto wie, czy daleka jest walka między cywilizacyą wschodnią a zachodnią. Prześladujecie naród, zbliżony do was cywilizacyjnie, który w tej walce odegra ważną rolę. Dziś wołacie: Niech krew ta spłynie na nas i na dzieci nasze — ale przyjdzie chwila, gdy wnukowie wasi zapragną tę krew zmyć z czoła swego i ubolewać będą, że są waszymi wnukami.

Minister Gosler: Posłowie polscy sztucznemi mgłami otaczają Izbę, ażeby ona nie dostrzegła rzeczywistości, ale błyskawice ze zgromadzeń publicznych rozdzierają te obłoki i ukazują faktyczny stan rzeczy. Polacy odcinają się od niemców coraz szerzej i głębiej. W pewnej książce, przeznaczonej dla bibliotek ludowych, autor wyraża życzenie, ażeby niemiec zrósł się ze swym śprzymierzeńcem i ażeby polak mógł jednym zamachem tej „psiej krwi“ łeb odciąć. Niedawno w Poznaniu wezwano polaków do unikania niemieckiego kościoła katolickiego. Nauczyciele niemieccy proszą rząd o obronę swej narodowości, tępionej w młodszem pokoleniu przez matki polskie.

Radziwiłł: Rząd odmawia zupełnie opieki swym poddanym polskim. Oświadcza on wyraźnie, że zewsząd wyprze żywioł polski i wszędzie, o ile będzie mógł, wprowadzi niemiecki. Całe to postępowanie jest brutalnem pogwałceniem słuszności i praw poręczonych wszystkim poddanych. Nie dość tego. Gdziekolwiek ludność polska usiłuje brak opieki państwowej wynagrodzić środkami prywatnymi, gdziekolwiek tworzą się związki, wspierające młodzież w studyach naukowych, wszędzie rząd je prześladuje, uciska i przedstawia w fałszywem świetle. Wszelką naszą pracę podejrzywa, w każdej widzi tylko agitacyę. Świeżo porozwiązywał studeckie stowarzyszenia polaków, chociaż zostawały pod kontrolą publiczną i wyłączyły ze swych zadań politykę. Skrzywdzona tą surowością młodzież akademicka, głęboko odczuć musi wyrządzoną jej niesprawiedliwość, a nawet, kto wie, czy środki rządowe nie usposobią jej wrogo przeciwko zwierzchnikom, których dotąd szanowała. Muszę przeto oświadczyć, że ludność polska w czynach rządu nie dostrzega pieczołowitości ojcowskiej, natomiast w jego najwyższych urzędnikach widzi śmiertelnych wrogów uprawnionego rozwoju swej narodowości. Przekonanie to nasuwają jej całe szeregi faktów.

Min. Gossler: Żaden z posłów nie napiętnował tak najwyższych urzędników państwa, jak ks. Radziwiłł swą mową wysoce agitacyjną. Kiedy Prusy objęły posiadaną obecnie część dawnej Polski, była ona pustynią ciemną, której dały ład i wszelkie dobrodziejstwa kultury. Dzięki rządowi rozwinęło się również mieszczaństwo. Nie chodzi tu o prześladowania, ale o wzmocnienie żywiołów pożytecznych ekonomicznie i społecznie. Co do stowarzyszeń studenckich, to zapanował w nich ostatecznie prąd polityczny. Jest to klątwa, ciążąca na polakach, że na wszystko patrzą przez pryzmat polityki. Wszystkie owe związki, w których ciągle rozbierano tematy rewolucyjne, założone zostały niby w rocznicę śmierci Mickiewicza, a właściwie w rocznicę powstania listopadowego. Rozwiązanie więc ich było koniecznością. Celem rządu jest tylko obrona niemczyzny.

Naturalnie, głosy polskich posłów odbiły się, jak ziarnka piasku, od zwartej ściany większości Izby i projekt rządowy został przyjęty. Czy on wszakże jest istotnie końcem, czy tylko dalszym ciągiem praw wyjątkowych, po którym dokończenie jeszcze nieprędko nastąpi?..

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 8 czerwca.

Patryoci własnej kieszeni. — Znaczenie rozruchów. — Melodya p. Bilińskiego przy akompaniamencie ks. Chotkowskiego. — Jak żyje lud szczęśliwy? — Jak było, tak będzie.

Parlamentarna „reprezentacya“ Galicyi może być dumną ze swojej działalności! Głupszego położenia, jak to, które się przez

---

1)

POWIEŚĆ.

ODDECHY.

Lorenz Trinkbier bał się.

Przez 35 lat swego życia jadał, sypiał, nienawidził, miewał różne upodobania i wstręty, ale przedewszystkiem bał się — tak bezustannie i mocno, że gdyby kiedykolwiek opuściła go trwoga, a on zechciał ją odemścić na tych, co go przerażali, byłby najokrutniejszym człowiekiem, jeżeli nie w całych Prusach, to przynajmniej w całem Księstwie Poznańskiem. Równie okrutnym zdołałby być tylko zając, nagle przemieniony w lwa.

Już jako Wawrzuś Tryncza od dzieciństwa zdradzał pewną lękliwość; uciekając wszakże z ojcem, kryjąc się z nim po zaroślach i zbożach, dręczony obawą pogoni lub niepożądanego spotkania, dostał gwałtownych dreszczów strachu, które nim później ciągle trzęsły. W Poznaniu, dokąd z Kalisza po tygodniowej tułaczce przybył, owa febra wzmogła się jeszcze bardziej. Ojciec bowiem, uwięziony, wkrótce zmarł, a stryjeczna ciotka, której chłopiec dostał się w spadku, oświadczyła mu zaraz przy pierwszem śniadaniu:

— Jeżeli ani policyi, ani dzieciom moim nie będziesz *przeciwny*, dam ci przez dwa lata przytułek i jedzenie. W ciągu tego czasu powinieneś uzdolnić się produkcyjnie.

Nie zrozumiał Wawrzuś, jakim sposobem ma „uzdolnić się produkcyjnie,“ ale zrozumiał, że musi odtąd tańcować między sześcioma mieczami: policyą, ciotką i jej czworgiem dzieci.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że swoje zadanie odtańczył z należytą pokorą i zręcznością: nietylko bowiem policya zapisała go do ksiąg ludności stałej, młodzi krewniacy uznali za niezbędną dla siebie krzywą wierzbę, ale ciotka, oceniając zasługi siostrzeńca, oddała go do gimnazyum. Przy pracy skończył je szybko, złożył egzamin państwowy, a przy poparciu znajomych opiekunki otrzymał posadę kancelisty w magistracie — czyli — zaczął być produkcyjnym.

Nie przestał się jednak bać bądź utraty miejsca, bądź zbyt długiego pozostawania na niem. Dwadzieścia pięć talarów miesięcznie—dla biednego Tryńczy było bardzo dużo, ale znowu dwadzieścia pięć talarów przez całe życie — w takiej szczupłej pensyi marzenia jego zmieścić się nie mogły. Gdy skutkiem niełaski bezpośredniego zwierzchnika pasował się to z jedną, to z drugą obawą, wybuchła wojna francusko pruska i Tryncza powołany został do rezerwy. Chociaż mu nogi aż podkuliły się ze wzruszenia, przyjął tę konieczność z niejaką radością.

— Albo zginę — rzekł do ciotki — albo zaawansuję.

Nie zginął i zaawansował. Wysłany z oddziałem na zwiady, spoił chłopa francuskiego wódką i wydobył z niego potrzebną wiadomość. Za to pułkownik podziękował mu uroczyście.

— Jak się pan nazywasz?

— Trincza.

— Panie Trinkbier, jesteś mężny, zasłużyłeś na order.

Ażeby nie spłoszyć zapowiedzianego odznaczenia i zyskać względy zwierzchności wojskowej, które zaważyć musiały na po-

przyjęcie wniosku Grochelskiego w sprawie naftowej wytworzyło, nie było dotychczas. Proste oszustwo przemytnicze znalazło w konserwatywnej większości Koła skutecznego obrońcę, rzekomo—dla względów politycznych. Jest to atoli w rzeczywistości tylko płaszczyk dla bezwarunkowej uległości wobec rządu, która naszemu społeczeństwu najmniejszej nie przynosi korzyści. Ale o to społeczeństwo polskim konserwatystom bynajmniej nie chodzi. Ci „patryoci“ znają tylko interes własnej kieszeni, własnej przewagi — interes koteryi, w których objęciach pasorzytniczych nędznieje i upada lud polski. Im chodzi jedynie o utrzymanie przeważnego wpływu szlachty na cały autonomiczny ustrój w Galicyi, co bezwstydnie okrzykują, jako interes „krajowy“ i „polski.“ Biada temu, kto się ośmieli powstać przeciwko *status quo* swawoli i wyzysku szlacheckiego, osłoniętego w szaty konstytucyjne i autonomiczne, kto się zdobędzie na odwagę i nazwie rzecz właściwem mianem! Służebne organy prasy zrobią go w mgnieniu oka wichrzycielem, zdrajcą i spalą na stosie słomianego ognia swych zacofanych dążności, niepomne na straszną naukę, jaka jest zawarta w rozruchach tarnowskich i gorlickich, w tym groźnym objawie, który zarazem jest najwymowniejszą ilustracyą dwudziesto-pięcio-letniego samorządu Galicyi pod patronatem szlachty. Rozruchy te przedstawiane jako coś niedającego się określić i wytłomaczyć, są dla nas bardzo jasne i zrozumiałe, jako początkowy objaw prądu socyalistycznego *sui generis*, wywołanego uciskiem i wyzyskiwaniem ludu przez szlachtę do współki z żydami, która wysuwając się wszędzie naprzód jako filar rządu, ściąga także na siebie ciężar wszystkich jego przewinień, twardo i ciężko odbijających się na doli warstw niższych. Naturalnie, że ów socyalizm, nurtujący w masach ludu galicyjskiego, jest pod niektórymi względami odmiennym, aniżeli ruch tego imienia, objawiający się gdzieindziej; ale mimo różnicy nie jest on, jako żywo, czem innem, a zaiste, trzeba się tylko dziwić ograniczonym lub przewrotnym głowom, które z uporczywą brawurą przy każdej sposobności wygłaszają, jak papugi, stereotypowy frazes, że „u nas nie ma socyalizmu!“ Miejmy raz odwagę powiedzieć, że to wierutne kłamstwo, wymyślone w źle zrozumianym interesie sprawy ogólnej, a jeszcze więcej dla nadania na zewnątrz pewnej aureoli gospodarce szlacheckiej w Galicyi. Dlaczegóżby właśnie Galicya miała być pod tym względem tak szczęśliwą? Czyż tam lud żyje w lepszym dobrobycie, niż gdzieindziej? Zdaje nam się, że najbezczelniejszy krzykacz z obozu konserwatywnego nie będzie śmiał dać potwierdzającej odpowiedzi. Wszak lud galicyjski jada czasami „na przednowku“ korę z drzewa, cały rok, z wyjątkiem Wielkiejnocy, mięsa nie widzi, chodzi nawet w zimie boso, a zimą i latem mieszka w dymnych, nędznych chatach, często z bydłem pospołu. W młocarniach lub gorzelniach szlacheckich kaleczeje, a zresztą jak wół pracuje ciężko za płacę dzienną, która miejscami nie przechodzi 10 krajcarów. Ze wszystkich reprezentacyj jest chłop galicyjski wypartym, wszędzie narzucają mu się na przedstawicieli, często w sposób najbrutalniejszy lub zapomocą najwstrętniejszego zepsucia, jego wyzyskiwacze, co wszystko nie może w znękanych i upośledzonych budzić zadowolenia i tłumić dążności, skierowanych ku wywrotowi nieznośnego „porządku“ rzeczy, dającego się milionom pracującego ludu krwawo we znaki.

„W naszym kraju nie ma socyalizmu!“— twierdził stanowczo dr Biliński, jako sprawozdawca ustawy o zabezpieczeniu robotników od wypadków, stawiając równocześnie wniosek (poprawkę), żeby od ubezpieczenia wykluczeni zostali wszyscy robotnicy, pracujący przy gospodarstwie rolnem, co, dzięki wpływowi Koła polskiego, przyjęto znaczną większością w Izbie. Czy to także czyn „patryotyczno-polski?“ Ani słowa, skoro „patryotyzm,“ „polskość,“ „interes kraju“ stały się synonimem dążności koteryjnych. Otóż tego rodzaju patryotyzm pozbawia setki, a może tysiące najnieszczęśliwszych polaków pomocy, której im użyczyłby rząd austryacki, a której przez wzgląd na mały uszczerbek, jakiby z tego powodu poniosły kieszenie kilkudziesięciu bogaczów, odmawia „narodowa reprezentacya“ i „narodowa autonomia.“

Tak samo wczoraj postąpił sobie ks. Chotkowski, komik klerykalny Koła polskiego, polemizując z drem Edwardem Gregrem przy rozprawie nad ustawą o ubezpieczeniu robotników od wypadku. Trudno właściwie zrozumieć, czego przewielebny *pater* chciał, a dziwić się tylko należy, że Koło polskie pozwala tak płytkim a fanatycznym głowom występować w swojem imieniu; oświadcza on, że „Koło polskie zachowuje się biernie wobec tego prawa po prostu dlatego, ponieważ *w naszym kraju nie ma socyalizmu;* potem majaczył o jakiejś „dwojakiej potrzebie“ mówiąc: „znam ubóstwo, które Bóg pozwala, i inne, które z zawiścią i przekleństwem spogląda na bogatych,“ w końcu zaś usiłował spakować wszystkich polaków do worka ultramontańskiego, co uczyniwszy, gorzki postawił wyrzut ludziom postępowo myślącym, iż oni to popełnili zbrodnię, robiąc państwo austryackie „bezwyznaniowem.“

Wystąpienie tej sutanny nie zasługiwałoby zresztą na nic innego, jak tylko na śmiech i urągowisko, gdyby poza nią nie kryła się „powaga Koła polskiego.“

Ale źle się ma ta powaga: z jednej strony niewolnicze poddawanie się rozkazom ministerstwa, z drugiej znowu tacy mówcy, jak ten nieborak polityczny! Wobec tak smutnych objawów, któż może z pogodnem obliczem spoglądać w przyszłość? Germanizacya w Prusach a u nas upadek moralny i szkodliwa nad wszelki wyraz wybujałość oligarchii szlacheckiej, drapującej się płaszczykiem „patryotyzmu“ i „interesów krajowych.“

Mniejsza więc o to, jak się układa położenie parlamentarne w Wiedniu, skoro położenie kraju w tak posępnych zarysowuje się barwach; mniejsza o to, czy Izba poselska będzie rozwiązaną lub nie, albo czy ministeryum poda się do dymisyi lub dalej będzie prowadziło jałowe swe rządy. Mówiąc otwarcie, my w takie „wstrząśnienia“ wcale nie wierzymy i zupełnie spokojni jesteśmy o to, iż wszystko pozostanie przy starem. Przyjęcie wniosku Grocholskiego, który podwyższa cło od nafty surowej z 1,42 zł. na 2 zł. w złocie, nic nie znaczy, ponieważ rząd nawet i tego nie uwzględni i przy dawniejszych swych postanowieniach celnych pozostanie, a zapowiedź ta wyparowywa już teraz z półurzędowych komunikatów. Wniosek Grocholskiego jest przeto tylko zamydleniem oczu rozburzonej opinii publicznej w Galicyi, pragnącej ratować przemysł naftowy od zupełnego upadku, jakim mu sankcyonowane urzędownie oszustwo przemytnicze, praktykowane przez węgrów na wielką skalę, zagraża.

Położenie streszcza się w słowach: wszystko zostanie, jak było, a wobec tego nie warto zaiste zastanawiać się nad szczegółami i fazami, przez jakie ono chwilowo przechodzi. Szkoda na to czasu.

G. S.

żniejszym jego losie, Tryncza nietylko próbował upajać wszystkich spotkanych chłopów francuskich, ale przyjął z ust pułkownika nowy chrzest i postanowił stale nazywać się Trinkbier.

Mimo to Lorenz Trinkbier bał się ciągle, chociaż go po skończeniu wojny mianowano asesorem, z pensyą 40 talarów miesięcznie. Bo przecież i tę posadę mógł stracić, a ona znowu nie zdołałaby nakarmić wszystkich spełnionych jego marzeń, które nie były wielkie, ale za to żarłoczne. Przechadzając się wieczorami po okopach miasta, rozmyślał, jakimby sposobem powiększyć swój zarobek i ożenić się. Żona bowiem stanowiła główny przedmiot jego samotnych rojeń i głębokich westchnień. Gdyby mógł być pewien, że będzie bezpłodnym i że we dwoje tylko zjadać będą 40 talarów! Ale pewność taka nie dawała się osiągnąć żadną znaną mu drogą. Chwilami nawet postanawiał wyszukać sobie wdowy bezdzietnej, ale naprzód poprzednie jej doświadczenie nie przedstawiało mu rękojmi, zwłaszcza, że pod tym względem uważał się za jednostkę wyższą w rodzie męskim, powtóre ojcowstwo miało także dla niego pewien wdzięk.

Nosił więc w sobie te smutne marzenia i przebierał na ulicy kobiety, upatrując, która byłaby najwłaściwszą dla niego małżonką. I przyznać trzeba, że odpowiednich znajdował wiele. Należał on bowiem do tych, podobno najliczniejszych mężczyzn, którzy w żadnej kobiecie nie widzą zupełnego człowieka, ale w każdej istotę pożądaną. W ciągu kilkumiesięcznych spacerów wybrał czternaście, których nie znał nawet z nazwiska, ale otrzymawszy podwyżkę, gotów był jedną poślubić.

Z wrodzonej i nabytej obawy nie zawiązywał Trinkbier stosunków towarzyskich. Oprócz też starej posługaczki nie znał bliżej żadnej innej kobiety. Nieraz koledzy biurowi zapraszali go na zabawy, umiał im zawsze się oprzeć, gdyż nie odstępowała go myśl, że czas miłości jeszcze dla niego nie nadszedł, a sposobność obrażenia kogoś zdarzyć się mogła łatwo. Na posadzie zaś swojej nie czuł się dostatecznie ubezpieczonym i awansu pewnym.

Właśnie jednego z takich dni, kiedy rozmyślał o poślubieniu wdowy bezdzietnej, wezwano go do naczelnika wydziału:

— Rząd — rzekł, otulając się lekką tajemniczością, zwierzchnik — a nawet, czego pan wszakże nie ponieś dalej, kanclerz państwa życzy sobie, ażeby wszyscy urzędnicy byli narodowo-liberałami, zwłaszcza przy wyborach do parlamentu. Pojmujesz pan?

— Ja, panie naczelniku — odpowiedział z pośpiechem Trinkbier—byłem narodowo-liberałem od dawna.

— Rząd życzy sobie — zauważył sucho naczelnik — ażebyś pan był nim od dziś.

Trinkbier wyszedł z zamąconą głową. W odpowiedzi naczelnika dostrzegł niechęć.

— Po co ja u djabła — pytał siebie w rozpaczy — wyrwałem się, że byłem narodowo-liberałem od dawna, kiedy nie byłem nim nigdy? kiedy kazano dopiero od dziś?

Rzeczywiście w zbytniej gorliwości skłamał. Przekonań bowiem politycznych nie miał żadnych, a gdy go nawet czasem napadała jakaś chętka, wypłaszał ją obawą narażenia się zwierzchności i utracenia posady. Zdradziwszy więc teraz swoją mniemaną barwę polityczną przed wyznaczonym terminem, wpadł w rozpacz, która niezawodnie doprowadziłaby go do samobójstwa, gdyby pewnego dnia znowu nie zawezwał go naczelnik.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy bałkańskie ucichły zupełnie, w d. 14 czerwca otwarte zostały posiedzenia zgromadzenia narodowego bułgarskiego, obrady zaczęły się spokojnie i poważnie. O ogłoszeniu księcia Aleksandra królem — nie ma mowy.

W Bawaryi odbyła się rewolucya dworska, zakończona tragiczną katastrofą. Pisaliśmy już poprzednio, że król Ludwik II zdradza oznaki obłędu umysłowego i brnie w długi, których kasa państwa wypłacić nie może. W zeszłym tygodniu ustanowiono regencyę i rozciągnięto dozór nad szaleńcem, czy dziwakiem, trudno bowiem rozstrzygnąć, jaki był stan jego umysłu, gdyż świadectwa powag lekarskich brzmiały sprzecznie. Ministrów, którzy oznajmili królowi o usunięciu go od rządu, kazał on uwięzić, jak mówią—nawet wyłupić im po jednem oku, otoczył się żandarmami i powołał pod broń przywiązaną do niego ludność górską. Opór jednak nie trwał długo; dobrowolnie czy podstępem, bo to rzecz niewyjaśniona, król uprowadzony został z miejsca swego dotychczasowego pobytu i osadzony w zamku Berg, gdzie na drugi dzień znaleziono trupa jego w sadzawce. Razem z królem utonął towarzyszący mu stale dr. Gudden, który prawdopodobnie chciał go ratować lub też został przezeń wrzucony do wody, widocznem jest bowiem ze śladów na brzegu i podrapanej twarzy, że toczyli z sobą zaciętą walkę. Brat Ludwika II — Otton jest już oddawna obłąkanym, pomimo to został uznany następcą tronu, rządy zaś sprawować będzie stryj jego, książę Luitpold.

Rozwiązanie parlamentu angielskiego nastąpi wkrótce, nowe wybory zaś odbędą się w lipcu; jeżeli rezultaty ich okażą się niepomyślnymi dla projektów Gladstone'a Izba gmin zwołana zostanie natychmiast, w przeciwnym zaś razie dopiero w końcu sierpnia lub początkach września. Wszystkie stronnictwa rozpoczęły już gorącą agitacyę i Gladstone spodziewa się zwycięztwa, ponieważ wyborcy irlandczycy w wielu miastach angielskich przechylić mogą szalę głosowania na korzyść zwolenników samorządu. Nie można zresztą nie przyznać słuszności zdaniu Morley'a, że jakikolwiek będzie rezultat wyborów, samorząd irlandzki najdalej w ciągu lat trzech zostanie wprowadzony, świadczy o tem chociażby ta okoliczność, że i radykalni i zachowawcy rozpoczęli już rokowania z Parnellem. W Irlandyi tymczasem stosunki są bardzo naprężone, osadnicy protestanccy z Ulsteru przygotowują się do oporu i pragną wywołać zbrojne powstanie w kraju.

Związki robotnicze angielskie postanowiły połączyć się w jedno stowarzyszenie, na wzór amerykańskich „rycerzy pracy;" przy nowych wyborach już zamierzają one stawić wspólnie wyznaczonych, własnych kandydatów.

Francuska Izba deputowanych zatwierdziła, jak pisaliśmy, wniosek wydalenia z kraju pretendentów, tj. naczelników rodzin monarchicznych i ich synów. Wielu republikanów, zwłaszcza radykalnych głosowało przeciw tej uchwale, twierdząc, że jeżeli książęta intrygują, to należy ich karać jak zwyczajnych spiskowców. Uchwała skierowaną jest głównie przeciw hr. Paryża, naczelnikowi domu orleańskiego, podpada pod nowe prawo i książę Hieronim, ale rząd podobno pozwoli mu pozostać we Francyi, uważając go za nieszkodliwego, gdyż nie ma żadnej popularności i zresztą uznał uroczyście republikańską formę rządu.

Parlament włoski został otwarty, ministeryum Depretisa posiada w nim większość kilkudziesieciu głosów.

Oprócz praw skierowanych przeciw polakom, które zatwierdza tak skwapliwie sejm pruski, rząd nie zarzeka się działania w tym kierunku i za pomocą rozporządzeń policyjnych. Z rozkazu administracyi wszystkie stowarzyszenia studenckie polskie w uniwersytetach niemieckich zostały rozwiązane i pod surową karą zabroniono zawiązywać nowe.

Wybory do belgijskiej Izby deputowanych wypadły na korzyść klerykałów, obecnie w parlamencie zasiadać będzie 97 zachowawców i 41 liberalnych.

BADANIA NAUKOWE.

NAJNOWSZA PRACA WUNDTA *).

Różnorodne zagadnienia filozoficzne, opracowane w 14 mniejszych lub większych rozprawach, stanowią treść tej zawsze ciekawej choć niezawsze oryginalnej książki. Zadanie jej wyświetla sam autor w kilku wyrazach: „Chęć uprzytomnienia sobie samemu wyników prac większych w krótkim przeglądzie, a obok tego zamiar uprzystępnienia ich szerszemu ogółowi — były pierwotną pobudką ogłoszenia tych szkiców. Jednocześnie też są one obrazem różnorodnych poniekąd, lecz jednością dotychczasowej pracy całego życia powiązanych, dążeń autora."

Niektóre z tych prac znajdą obszerniejsze streszczenie w najbliższych numerach *Prawdy*, innym zaś tutaj kilka słów charakterystyki ogólnej chcielibyśmy poświęcić. Zawartość i kierunek każdej pojedyńczej rozprawy najłatwiej wszakże można będzie zrozumieć, poznawszy ogólny charakter naukowej działalności Wundta i rozejrzawszy się choć pobieżnie w tem, co do skarbca wiedzy dzisiejszej złożył on dotychczas.

Jeden z myślicieli francuskich (Nolen) w przedmowie do wydanego obecnie w Paryżu tłomaczenia *Gründzuge d. Physiologischen Psychologie* — mówi o Wundt'cie, iż z pomiędzy wszystkich filozofów niemieckich, nie wyłączając nawet Fechnera, jest on najlepszym przedstawicielem psychologii nowoczesnej. Znamienne jej cechy streszczają się, jak wiadomo, w dwóch głównie przepisach: jak najszersze zastosowanie metody doświadczalnej i możliwe ograniczenie zakresu badania do zagadnień, niewdzierających się w dziedzinę metafizyki. Wundt nie jest ani jedynym wyznawcą, ani założycielem tej nowej wiary; prace innych uczonych, jak: Fechnera, Webera, Volkmanna, Dondersa, Heringa, Helmholtza — już poprzedziły go, już z nim razem torowały drogę rzeczonym poglądom. Droga ta dzisiejszych psychologów nie może ominąć badań fizyologicznych: to też najpierwsze prace Wundta dotyczą właśnie fizyologii, a nawet jego najwcześniejsza rozprawa filozoficzna. „Przyczynek do teoryi postrzegania (1862) ściśle się wiąże z fizyologią zmysłów. W r. 1863 ukazały się „Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej," znane polskim czytelnikom z tłomaczenia, a zawierające w sobie wszystkie prawie poglądy i teorye, jakie autor rozwinął później i uzupełnił w znakomitych swoich „Zasadach psychologii fizyologicznej (1874 i 1880). Fizyologia wszakże, jak w tem ostatniem dziele, tak i w poprzedzających nie jest jedynem źródłem, z którego psycholog niemiecki wiedzę swą czerpie i innym czerpać nakazuje: patologia i embryologia, językoznawstwo i historya, etnografia i antropologia — dostarczają mu kolejno materyałów, dowodów i wniosków.

Nie należy jednak sądzić, że rozwiązywanie zagadnień metafizycznych nie posiada dla Wundta żadnego uroku. Przeciwnie: pytania o istocie bytu, o wolności woli itp. jakkolwiek nie zadawane stanowczo i nie dość wyraźnie rozstrzygane, zaprzątają go często. Znaczna część znakomitej jego *Logiki* i *Zasad psychologii* rozbiorowi ich jest poświęconą. Ostatecznego wyniku tej analizy autor dokładnie nigdy i nigdzie nie oznaczył; ponieważ zaś wzorem wielu pisarzy nowoczesnych unika on wyraźnych barw jakiejkolwiek szkoły filozoficznej, przeto do żadnej z nich bez wszelkich zastrzeżeń zaliczonym być nie może. Pomimo to wszakże wspomniany wyżej filozof francuski, Nolen, usiłując nadać mu jakiś urzędowy tytuł filozoficzny, zajął się zebraniem potrzebnych dokumentów, rozsianych po wszystkich pismach Wundta. Owocem tych poszukiwań jest nazwa: „idealnego monisty," obdarzonego silnym pociągiem do *animizmu*. Tą skłonnością Wundta do metafizyki wytłomaczyć sobie można jego mimowolne ustępstwa, jakie kolejno czyni wszystkim zwalczanym przez się teoryom filozoficznym. Uznawszy, iż byt realny przypisywać wolno tylko pierwia-

*) *Essays*. Lipsk. 1885.

— Czy pan pamiętasz — rzekł uprzejmie — że jutro są wybory do sejmu i że pan powinieneś być narodowo-liberalnym?

— Ach, panie naczelniku! — zawołał wzruszony Trinkbier, który w śmiertelnej trwodze spodziewał się usłyszeć dymisyę, a teraz z radości nie mógł dokończyć zdania.

Wyszedł lekki, pokrzepiony na duchu, uradowany: łzy kręciły mu się w oczach, ręce otwierały do uścisku, usta układały do pocałunku. Wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Nazajutrz jak gdyby przemienił się, bo promieniował śmiałością i energią. Nietylko oddał swój głos kandydatowi narodowo-liberalnemu, ale namówił dlań kilkunastu wyborców. Uwijał się na zebraniu, dowodził, przekonywał, nawet gromił przeciwników. Zachwycony jego ruchliwością jeden wyborca przedstawił mu się:

— Jestem Kinkel, piekarz, a odtąd narodowo-liberał—panu to zawdzięczam. Jeżeli za trzy lata będziesz pan kandydatował, masz mój głos.

— To nie dla mnie, chybaby władza sobie życzyła—odparł Trinkbier, nieco przerażony tym nagłym podskokiem w przyszłości, do którego zwierzchność go nie upoważniła.

— W każdym razie — rzekł Kinkel — zrobisz pan wielką przyjemność mnie, żonie mojej i córce, gdy zechcesz nas kiedykolwiek odwiedzić.

Znowu Trinkbier poczuł niespokojne drżenie serca. Miał poznać córkę, może jedną z tych, którą podczas spacerów wybrał? Co poczęć wobec 40 talarów pensyi? Pójść, czy nie pójść? Zadumanego od trzech dni nad tą zagadką wezwano do naczelnika.

— Władza, oceniając pańskie zasługi podczas wyborów — rzekł zwierzchnik — podwyższyła panu pensyę o 10 talarów miesięcznie.

Zdawało się Trinkbierowi, że ziemia pod jego stopami stężała w granit, ażeby mu dać mocne oparcie. Tegoż samego dnia wystrojony i wonny kilkoma rodzajami pachnideł poszedł z wizytą do Kinklów a za t. miesiące poprowadził do ołtarza ich tł. córkę, która wprawdzie nie należała do wybranych na ulicy, ale odpowiadała jego wymaganiom małżeńskim.

(D. c. n.).

stkom psychicznym, nadaje on całkiem niepotrzebnie materyi jakieś istnienie hypotetyczne. Odrzuciwszy poglądy spirytualistów, rozprawia o „nadzmysłowym celu" świata (Essays 313). Nakoniec w „animizmie" jego będącym tylko pewną nowożytną odmianą poglądów Arystotelesa i Leibnitza, widzimy jakby mimowolne połączenie dwóch negowanych przez niego kierunków: materyalizmu i spirytyzmu. Metafizyka więc Wundta nie jest ani lepszą, ani bardziej przekonywującą, ani — co główne — bardziej konsekwentną od każdej innej; jest ona tylko może mniej dogmatyczną, gdyż z dziedziny wiedzy autor przenosi ją w sferę wierzeń ludzkich i przypuszczeń, którym hołdować każdy ma prawo o tyle, o ile zechce.

Jeżeli w większych dziełach Wundta (Logika i Psychologia) zboczenia metafizyczne niemałą odgrywają rolę, to za to w „Szkicach" bardzo rzadko pozwala on sobie na ulubione wycieczki. Po za niemi nietylko nie opuszcza gruntu faktów i zjawisk zmysłowych, ale pozostaje często w granicach tak ciasnych, że filozof ustąpić tam musi miejsca suchemu specyaliście. Widocznem to jest szczególniej w tych pracach, gdzie autor stara się określić stanowisko i zakres działania filozofii (szkic pierwszy) lub psychologii (szkic V), a nadto w takich rozprawach, gdzie zamiast filozoficznych wywodów ogólnych spotykamy niespodzianie znane twierdzenia fizyki lub chemii (Teorya materyi).

„Cel rozwoju oczywiście na tem się zasadza, aby filozofia nadal nie skrycie i nie przypadkowo dawała się powodować obcym sobie podnietom, wywieranym przez nauki specyalne, lecz aby się oparła na trwałych podwalinach, jakie zapewnia jej obszar wiedzy doświadczalnej. Wtedy dopiero stanie się ona teoryą nauki, albo „nauką nauk" w prawdziwem tego słowa znaczeniu, gdy poprowadzi dalej pracę, rozpoczętą przez nauki specyalne, gdy doprowadzi ją do wyników, na jakie się tylko umysł ludzki zdobyć może. (Filozofia i nauka. Wyborny przekład całej rozprawy znajdzie czytelnik w kilku ostatnich numerach *Kraju*.). Nie ma, jak sądzę, ani jednego specyalisty, któryby na słowa powyższe nie przystał; przedmiot badań filozofii określa się tutaj sam przez się, zagadnienia metafizyczne do zakresu jej poszukiwań wciągniętemi zostaną niewcześniej, aż upoważni, aż doprowadzi do tego ogólny postęp i rozwój nauki, albo innemi słowy: nie wcześniej, aż *przestaną one być metafizycznemi*, tak samo, jak pod wpływem nowych odkryć i badań, metafizyczna *Vis vitalis* rozpadła się na szereg procesów fizyko-chemicznych.

Niemniej ściśle naukowem winno też być podług Wundta stanowisko psychologii. Autor należy do liczby takich psychologów, którzy wykład swój rozpoczynają od tego, iż nie pozwalają sobie mówić nic o duszy. W przeciwstawieniu do dawnych psychologów metafizycznych pragnie Wundt takzwaną obserwacyę wewnętrzną czyli samoobserwacyę zastąpić szeregiem spostrzeżeń i badań przedmiotowych. „Obserwowanie siebie samego, gdy wyraz obserwowanie naukowo mamy rozumieć, jest niemożliwem. Istnieje tylko postrzeganie wewnętrznych stanów i procesów." Logicznie zaś rzecz biorąc, odróżnić należy postrzeganie (percepcyę) pewnego zjawiska od obserwowania tegoż. Psycholog, któryby chciał ześrodkować swoją świadomość przyjdzie w końcu do jednego tylko ważnego spostrzeżenia, a mianowicie, iż chce obserwować, że jednak ta chęć jego jest całkiem płonną. Cecha znamienna, którą przypadkowe postrzeganie (Wahrnehmung) różni się od obserwacyi, jest właśnie to, iż obserwując dany przedmiot, staramy się uczynić go możliwie niezależnym od spostrzegacza; w samopostrzeganiu zaś zależność taka jest właśnie tem ściślejszą, im większą będzie uwaga obserwatora." Na miejscu obserwacyi wewnętrznej stawia autor doświadczenie, zastrzegając się jednak, iż badania psychologiczne każą nam zwykłe nasze pojęcia doświadczenia i metody doświadczalnej rozszerzyć. Czytelnik domyśli się łatwo, o ile — wobec takiej metody poszukiwań — ścisłym musi być związek psychologii z fizyologią, o ile więc i tutaj autor „Szkiców" dalekim jest od traktowania ciemnych zagadnień metafizycznych. Poza fizyologią przychodzą na pomoc badaniom psychologa inne nauki, jak: przyrodoznawstwo, badanie rozwoju dzieci; pomoc to, podług Wundta, mniej ważna — dalej: antropologia i t. p. Na wszystkich tych gałęziach wiedzy metafizyka psychologiczna z trudnością może zakwitnąć.

Ostrożność Wundta wobec zagadnień metafizycznych uwydatnia się najlepiej w jego szkicu p. tyt.: „Teorya materyi" (przekład znaleść można w jednym z miesięcznych dodatków do *Przegl. Tyg.*) Czytelnik, któryby się spodziewał spotkać tu filozofię pojęcia materyi, doznałby zawodu. Autor powstrzymał się w rozprawie swej nawet od takich uogólnień, do jakich mu jego stanowisko psychologa i wyznawcy idealnego monizmu daje zupełne prawo. Nie rozebrał on złożonego kompleksu wrażeń, któremu nadajemy miano materyi, nie rozłożył go na najprostsze podmiotowe pierwiastki czucia, nie wykazał całej względności wszystkich przymiotów materyi, jak: barwa, temperatura, opór, rozciągłość itp., lecz po prostu dał nam kilka kartek z dziejów fizyki i chemii, rozpatrzył dość szczegółowo poglądy starożytnych, ocenił wskazówki dzisiejszych fizyków, wysondował twierdzenia analizy widmowej — słowem, jak przystało na ścisłego specyalistę, mówi tu wszędzie o materyi, jako o bycie realnym, nie wprowadzając bynajmniej czytelnika w dziedzinę subtelnych powątpiewań metafizyki.

Mniej naukowym, mniej ścisłym okazuje się autor w rozprawie swej o „Rozwoju woli." Zarzut nieścisłości i tutaj stosować się zresztą może tylko do wyników i wniosków, nie zaś do metody badania. Wundt, w przeciwstawieniu do wielu innych psychologów, zjawisko ruchów dowolnych czyni pierwotną kolebką odruchów i poruszeń instynktowych — bezwiednych. Wniosek ten opiera on na tym, powszechnie znanym fakcie, że np. takie ruchy automatyczne, jak chodzenie itp. rozwijają się powoli, z ruchów dowolnych, koordynowanych z trudnością i przyswajanych stopniowo. Widzimy więc, iż w tym wypadku, jak w wielu innych autor opiera się na faktach i z nich tylko wnioski swe wyprowadza. Fałszywość przeto tych wniosków, jeżeli się na nią zgodzimy, wynika tylko z uwzględnienia zbyt małej liczby faktów.

Chodzenie automatyczne i inne tego rodzaju objawy zdają się w istocie poglądy autora popierać; objawy te wszakże są jednem tylko ogniwem długiego łańcucha zjawisk innych, z teoryą Wundta sprzecznych. Cała olbrzymia dziedzina życia duchowego na ziemi przekonywać zdaje się nas o tem, iż w miarę rozwoju istot organicznych stopień i zakres świadomości zwiększa się i potęguje coraz bardziej. Przeobrażanie się ruchów dowolnych w automatyczne nie przemawia tutaj wcale na korzyść teoryi Wundta; jest to tylko jedno ze stadyów rozwoju, ale nic nas nie upoważnia do uznawania go za stadyum najpierwsze; jeżeli coraz większa ilość ruchów dowolnych zamienia się na automatyczne, to za to znów z chaosu bezwiednych i napółświadomych wyłaniają się coraz to nowe formy świadomości. Pogląd autora sprzecznym jest zresztą nietylko z jego metafizycznym animizmem, lecz z własną jego teoryą woli. W animizmie najprostszym pierwiastkiem psychicznym jest instynkt. „Ponieważ badania czynności dowolnych pokazują, iż instynkt jest punktem wyjścia w rozwoju procesów wyobraźni i woli, nietrudno przeto zauważyć, iż nawet w szczególności tworzenie się wyobrażeń i rozwój świadomości, wyłaniający się z pierwszych, zawierają w sobie instynkt w charakterze pierwiastku najbardziej pierwotnego" (Psychologia, II, str. 517, tłom. franc.) Z drugiej znów strony wyłożona w rozprawie teorya woli powiada wyraźnie: „Co do nas, to nie istnieje tak samo wola bez świadomości, jak świadomość bez woli... Wola w żaden inny sposób nie może być przedmiotem naszego doświadczenia wewnętrznego, jak tylko, jako wyobrażenie lub czucie, jako, jednem słowem, objaw naszej świadomości." Przeciwko tej zasadzie kapitalnej ani słowa powiedzieć nie można; ale sprzeczność jej z teoryą rozwoju woli jest widoczną. Niemniej rażącą też jest tutaj niezgodność innego jeszcze poglądu Wundta. Stopień złożoności danego aktu woli, a tem samem i stanowisko jego w hierarchi postępków dowolnych, jest tem wyższe, im więcej pobudek występuje na widownię świadomości w charakterze czynników, orzekających o kierunku naszego działania. Łatwo zrozumieć, że i tutaj rozwój woli polega na coraz większem uświadamianiu się jej pierwiastków składowych, nie zaś przeciwnie. Jeżeli więc autor nazwą czynów dowolnych ochrzcić zechce ruchy instynktowe, albo raczej bezwiedne istot najniższych, to po 1-sze nie uniknie sprzeczności ze sobą samym, a po 2-gie niepotrzebnie i bez zasady rozszerzy pojęcie dowolności. Wola, która się nie uświadamia, nie więcej jest siłą psychiczną, niż np. przyciąganie ziemi. Na powstawanie zjawisk duchowych z takiego właśnie źródła objawów bezwiednych zgodzi się wielu; ale animizm niepotrzebnie będzie się kusił w takim razie o odebranie palmy pierwszeństwa metafizyce materyalistycznej lub jakiejkolwiek innej.

Cenne poglądy Wundta na stosunek duszy do ciała, na zadanie i zakres psychologii zwierząt itp. poznają czytelnicy *Prawdy* niebawem w streszczeniu obszerniejszem.

J. K. Potocki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

K. Widman. **Franciszek Smolka** jego życie i zawód publiczny. Lwów. Instytut Stauropigiański, 1886.

O Smolce, zajmującym podczas kilkakrotnej prezydentury w austryackiej Radzie państwa wybitne stanowisko polityczne, pisano wiele po dziennikach i w broszurach polskich, czeskich i niemieckich (skrzętnie wynotowanych w Kurzbacha: *Biographische Lexicon des Kaiserthum Oesterreich*, tom XXXV str. 197—209). Żadna wszakże biografia nie podaje tak szczegółowych i dokładnych wiadomości, jak niniejsza, zakrojona na wielkie rozmiary, dokonana ze współudziałem samego Smolki, który nietylko że złożył w ręce autora cały materyał urzędowy i rękopiśmienny, że dał mu do publicznego użytku swoją korespondencyę z żoną (parę set listów), ale nadto dostarczył ustnie wszelkich informacyj i opowiadań, a gdzie go własna zawodziła pamięć, wskazywał osoby, których zapiski lub wiadomości dawały uzupełnienie obrazu, a w końcu nawet przejrzał książkę w rękopisie i zaopatrzył ją w własnoręczne poprawki, sprostowania i dopiski.

Dodajmy do tego, że autor, sam dobrze obeznany z przedmiotem, wzrósł bowiem, wychował się i do dziś działa publicznie w tej atmosferze, przesiąkłej biurokracyą austryacką, służalstwem galicyjskiem i tromtadrackiem spiskowaniem, na których tle występuje jego bohater— a otrzymamy oprócz korzystnych warunków, wjakich powstała książka p. Widmana i niezaprzeczone jej, wypływające z natury rzeczy, zalety.

Jeżeli jednak wpływy te miejsca i otoczenia działały w dodatnim kierunku, to indywidualny charakter pisarza, który na każdem dziele wybija swoje piętno, odsłonił ujemną tylko stronę monografii. Przedewszystkiem wydaje nam się plan jej i założenie, nieodpowiedniem. Jeżeli kilka lat udziału Smolki w spiskach galicyjskich po roku 1831 oraz opis czynności jego parlamentarnej w Wiedniu z 1848 r., zajmuje w opowiadaniu p. Widmana niespełna 1,000 stronic druku, to postępując na tej drodze, nie obejmie autor w kilkunastu tomach dalszej jego działalności od 1849—1886 r.

Olbrzymi ten rozmiar, jak cała nabrzmiałość książki, wynika stąd, że autor, zamiast pisać o Smolce, kreśli dzieje Galicyi po r. 1831, a kiedy przychodzi do wybuchu rewolucyjnego opowiada już o kolejach całej monarchii austryackiej. To więc, co miało być tylko podścieliskiem i tłem do uwydatnienia głównej osobistości, zasypało ją lawiną zewnętrznych i nawet nie zawsze do rzeczy należących szczegółów. Osoba Smolki znikła prawie zupełnie — a przyczynił się do tego niemało i sam sposób przedstawienia rozwlekły i powtarzający się. Autor podaje jeden i ten sam wypadek naprzód w korespondencyi Smolki, rozwija go potem od siebie, w końcu przytacza zdanie o nim historyków. Luźna ta kompozycya odpowiada metodzie, pozbawionej pragmatyczności i krytycyzmu, i szeregującej szczegóły równomiernie, bez odróżnienia ważnych od nieważnych, bez odniesienia ich do ogólniejszej myśli i bez użycia probierza ich wiarogodności. Jest to po prostu zbiór materyałów, cenny i autentyczny, ale pod względem układu i krytyki historycznej, praca chybiona.

P. Widman podnosi tu Smolkę na piedestał bohatera rewolucyi, stawia go jako przedstawiciela i obrońcę ludu na równi z Waszyngtonem i przypisuje mu ocalenie całej monarchii habsburskiej od niezawodnej zguby—tego już trochę za wiele. Pomijając wsteczny kierunek polityki jego z ostatniej i przedostatniej doby, a trzymając się ściśle czasów zakreślonych ramami książki, wiadomo, że Smolka po r. 1831 był tylko jednym z uczestników sprzysiężeń galicyjskich, a podczas rewolucyi 1848 r. dzielnym prezydentem Rady państwa, ale nic więcej.

Stanowisko polityczne jego było wynikiem temperamentu. Jest to człowiek poważny, już swoją okazałą podstawą zniewalający do szacunku, spokojny, beznamiętny i niewzruszony jak posąg. Usposobienie to tłomaczy nam jego mocny wpływ na masy i uległość oraz szacunek jaki potrafił sobie zjednać nawet w sferze swych politycznych przeciwników. W czasach najgwałtowniejszego wzburzenia namiętności, kiedy wokoło huragan rewolucyi szerzył się z całą wściekłością, on z niezmiennym, majestatycznym spokojem trzymał swą laskę marszałkowską i przywoływał tych, co potracili już głowy albo stchórzyli — do porządku. Ani pochodzenie, ani stosunki w jakich wzrósł dziecięciem nie parły go na te tory, jakimi poszedł, a powinny były raczej popchnąć go w kierunku przeciwnym —rewolucyjnym, w którym odznaczyła się cała po kądzieli rodzina węgierskich rokoszanów. Ale choć niepolskiego prawie pochodzenia, bo ojciec jego był austryackim szlązakiem a matka węgierką z domu—(cały genealogiczny wywód rodu Smolków od antenatów szlacheckich, sprawia tylko przykre wrażenie), ta okoliczność, że wychowywał się później w gorącej atmosferze polskiej, nie została bez wpływu.

Jako młodzieniec brał czynny udział w propagandzie patryotyczno-demokratycznej, która podminowała Galicyę po 1831 r., do tego stopnia, że nawet wojskowi i urzędnicy austryaccy do niej przystąpili, należał do wydziału „Przyjaciół ludu,“ „Towarzystwa wzajemnej pomocy,“ „Stowarzyszenia ludu polskiego,“ „Młodej Sarmacyi“ i „Sprzysiężenia demokratów polskich,“ towarzystw rewolucyjnych, zostających w pośrednim związku z karbonaryuszami włoskimi.

Ale już wtedy odznaczył się pewnem umiarkowaniem i był przeciwny zbrojnemu powstaniu, ponieważ bez udziału ludu nie widział w niem powodzenia. Temu przekonaniu pozostał wierny i później, kiedy grożono mu szubienicą za nieprzystąpienie do rewolucyi. Uwięzienie w sierpniu 1841 r. przywódców spisku, do których należał Smolka, położyło koniec całej organizacyi i było tragicznem rozwiązaniem dramatu, rozgrywającego się od lat 10 lat.

Przeszło 400 osób więziono w Galicyi od 1832—1842 r., z tych wydalono jednych za granicę państwa austryackiego, inni poumierali w kozie, lub odebrali sobie życie, największą część wwięziono do fortecznych więzień Spielberga, Ołomuńca, Kufsteinu itp. „Nie było prawie rodziny we Lwowie — powiada Widman — któraby nie miała krewnego, przyjaciela lub znajomego w więzieniu.“ Więzienia te trwały od 1841 — 1845. Nastąpiły potem rzezie szlachty 1846 r. przez rząd wywołane a po nich grobowa cisza— lata żałoby i rozpamiętywania aż do 1848 r. Więzienia austryackie zapełniły się nowym zastępem to skazanych, to do śledztwa pociąganych; system biurokratyczno-centralizacyjny groził już zadławieniem społeczeństwa... Lecz właśnie takie wandaliczne stłumienie wszystkich pierwiastków życia, całej oświaty narodowej, musiało wywołać reakcyę ducha narodowego, tliła ona w cichości pod całunem żałoby pokrywającej kraje polskie — a objawiła się w literaturze, w „Skargach Jeremiaszowych“ Ujejskiego. Rewolucya 1848 roku, żniwo tego posiewu, jaki już od 1831 roku kiełkował w całej Europie, była w Galicyi dojrzewaniem narodów, zaszczepionych przez spiski lat poprzednich (1831—1841-go roku), wymierzeniem sprawiedliwości na absolutyzmie austryackim za rok 1846, który wzniecił zarzewie walki, jaka ostatecznie wybuchła jasnym płomieniem w rewolucyi 1848 r. Rząd austryacki zajął wobec powstających ludów stanowisko ujeżdżacza, który przystępuje do znarowionego konia z owsem w jednem, a z batem w drugiem ręku.. Zawiązanie „Rady narodowej“ we Lwowie dnia 14 kwietnia 1848 r. zastępującej niejako sejm galicyjski, powołało Smolkę na arenę polityczną, wybrany wkrótce potem do „Reichstagu,“ zajął w lewicy wybitne stanowisko. Wystąpienie z wnioskiem demokratycznym, aby cofnąć wojsko przeznaczone do stłumienia rewolucyi w Wiedniu — o czem dokładnie opowiada Widman — zjednało mu przychylność u ludu, i postawiło go na szczycie wziętości w stronnictwie demokratycznem. Zachowanie się spokojne, godne, bez najmniejszego odcienia namiętności, przemawianie proste a logiczne, bez frazesów, bez deklamacyi, bez napadów retorycznych na rząd lub przeciwne stronnictwo, w co wymowa innych posłów tak obfitowała — imponowała zarówno przeciwnikom, jak zwolennikom Smolki.

Wpływ, jaki wywarła jego wyniosła osobistość na tłumy, na tysiączne zastępy gwardyi i na ów kwiat wybujałości rewolucyjnej—na legion akademicki, kazał rządowi i wszystkim stronnictwom liczyć się jego potęgą intelektualną i moralną. Z drugiej strony to, że umiał zwalczyć opór reakcyi ministrów wystąpieniem swojem również spokojnem i beznamiętnem, jak stanowczem i pełnem godności — postawiło go w opinii wszystkich stronnictw na wyżynie męża stanu. Ta powaga, którąśmy podnieśli jako zasadniczy rys jego charakteru, zjednała mu obok innych zalet krzesło prezydenta sejmu ustawodawczego, najwyższą obok cesarza władzę w państwie konstytucyjnem, którą kilkakrotnie piastował w najburzliwszej epoce z największem wszystkich stronnictw zadowoleniem i uznaniem. Okazał przytem niezwykłą w stosunkach galicyjskich bezinteresowność i niezawisłość przekonania. Odrzucił najkorzystniejsze posady, jak tekę ministeryalną i prezydenturę sądu, wzgardził „ofiarą pieniężną“ rządu w znacznej wysokości, chociaż był nieraz w wielkiej potrzebie i jeszcze większej niepewności o przyszłość swoją i swojej rodziny, chociaż chodził w „wytartym surducie“ i mieszkał mniej niż skromnie.

„Dobrze masz (?), że menażujesz — pisze do żony 19go września 1848 r. — nie spodziewam się bowiem, aby mnie moje postępowanie jakie korzyści przyniosło — może i nędznie zginiemy — zawsze jednak *z czystem sumieniem* — tak też z drugiej strony przekonany jestem, że byłbym dziś już znaczną jakąś posadę mógł mieć, gdyby mi na tem było zależało — gdybym się o to był postarał, ale może i zaprzedał — *wolę jednak drwa rąbać i was w biedzie widzieć* — coby dla mnie było najboleśniejszem — *niżli pozbawić się niezawisłości mego przekonania...“*

Jako człowiekowi oddajemy Smolce cześć zasłużoną, jako bezstronnemu, sprawiedliwemu, pełnemu godności reprezentantowi i przywódcy parlamentu należy się mu najwyższe uznanie — lecz jako politykowi i mężowi stanu, można mu wiele zrobić zarzutów.

Nie roztrzygamy pytania: czy stanowisko jego umiarkowane, pośredniczące między rządem (reakcyjnym) a ludem (rewolucyjnym) wydało skuteczne owoce, pomijamy późniejszą jego zmienność i zacofane dążenia, a ograniczamy się do własnej jego korespondencyi ogłoszonej w dziele Widmana, okazującej obok krótkowidzenia politycznego i przeoczenia głównych rzeczy, niemal dziecinne przywiązywanie wagi do formy zewnętrznej. (Zobacz oprócz programu politycznego Smolki, zapatrywania jego w książce Widmana na str. 415, 521, 546, 572, 694, 725, 738/9, 769 i 787).

Z.

Historya towarzystw tajnych. Kraków. Nakład i druk Wł. L. Anczyca i Spółki. 1886, str. 446.

Pod względem stylistycznym jest to dość zręczna kompilacya, oparta głównie na książce Deschamps'a: *Les sociétés secrètes*, uzupełnionej niedawno przez Janneta, oraz na dziełach pomocniczych tego kalibru, jak: Saint-Albin, Saint-André itp., tchnących z autorem tej *Historyi* nienawiścią do wszystkiego, co nie jest przez hierarchię katolicką opatentowane. Niewartoby pisać o tem, gdyby nie chęć ostrzeżenia publiczności, aby nie dała się złudzić tak wiele obiecującą kartą tytułową i gdyby nie obowiązek napiętnowania takich fabrykacyj. Mowa w tej książce właściwie tylko o wolnomularstwie, czyli „massoneryi,“ o jej tajnych początkach, wyprowadzanych z „herezyi,“ gnostyków, albingensów, socynianów i t. p.,

o dalszym jej rozwoju z towarzystwa moralnego na społeczne przez encyklopedystów, a wreszcie jej obecnym stanie, kiedy z wysokości trybuny ogłoszono imiennie większość przedstawicieli narodu, jako należących do szeregów wolnomularstwa. Przeciw swemu chwalebnemu założeniu, podania zarysu dziejów i organizacyi „masonów“ wykracza autor zaraz w pierwszych rozdziałach, zapędziwszy się w zapale, godnym lepszej sprawy, do rzeczy nie mających żadnej styczności z przedmiotem, a które gwałtem pakuje do jednego worka. Za plecami tej milionowo-ramiennej hydry masońskiej stoją — żydzi, którzy „przeniknęli całą obecną cywilizacyę, kierują giełdą, prasą, teatrem, literaturą, administracyą państwową, wielkiemi drogami komunikacyjnemi na ziemi i morzu, z przewagą majątku i geniuszu (!), opasali jakby żelaznem kołem całe społeczeństwo chrześciańskie...“ Rozumiem fanatyzm religijny, socyalny, polityczny, nawet sekciarski, podzielam zapał i uniesienie w sprawach, gdzie idzie o najwyższe dobra ludzkości, o zasady żywotne w sztuce, w naukach, w życiu społecznem, ale nie mogę pojąć nienawiści do instytucyi, złożonej dawno u nas dawno do grobu, która nikomu już wody nie zamąci, a która przed napaścią wrogów obronić się już nie może. A napaść ta jest bardzo zręcznie obmyślaną — autor przysłania, jak może, swoje rożki, unika walki z otwartą przyłbicą, bo wie, że to może jego sprawce zaszkodzić raczej, niż pomódz, podaje więc truciznę objektywizmu w pigułkach, kryjąc się co chwila za parawan powag, albo strojąc się w piórka obcej myśli. Tajne związki są — zdaniem jego — „nieszczęściem, zgubą i zbrodnią każdego narodu.“ „Zamiast słuchać głosu rozsądku i cierpieć z poddaniem, pracując w cichości dla przyszłych pokoleń, słucha się podszeptów złych, ale w myśl naszą radzących nam ludzi i rzuca siebie i drugich na pastwę Molochowi z całą ułudą gorąco kochającego serca. To też odpowiedzialność uwodzicieli jest straszną! Słusznie też kościół potępia spiski, bo to droga śliska i bardzo niebezpieczna, nawet dla tych, którzy w obronie najświętszych spraw występują, ci bowiem najczęściej padają kozłem ofiarnym tych, którzy ich pchają do czynu dla własnego interesu. Takiem to narzędziem bywali już nieraz polacy w rękach posługujących się nimi, a narzędzie to łatwo do pozyskania.“

H. B.

WIELKIE DZIEŁO MATEJKI.

Kraków, 12 czerwca.

Stryj i Lisko — oto hasło, pod którem Kraków narówni z całą Galicyą zbiera pieniądze, pracuje, bawi się i uczy. I koła obywatelskie i nieznużony w zabiegach komitet pań umieją wyszukiwać sposoby, pociągające publiczność do niesienia ofiary pogorzelcom. Najpiękniejszą i najszlachetniejszą ponętę stanowiło ostatnie dzieło Matejki: „Wjazd Dziewicy Orleańskiej do Rheims.“ Mistrz uproszony przez znajomych pozwolił przez trzy dni wystawić w sali muzeum narodowego obraz, który był już niemal w drodze do Berlina, gdzie miał oznaczony termin przybycia. Niemcy poczekali, a Kraków pierwszy oglądał arcydzieło, godne ze wszech miar tej nazwy. Krytycy tutejsi powiadają, że obraz ten jest punktem najwyższym w rozwoju pomysłów Matejki, uwieńczeniem kierunku, a jednak jest on raczej zwrotem—niespodzianką. Dotychczasowy piewca chwały i niedoli królów, mocarzów, wielkich świata tego — zwrócił się do ludu i z jego tajemnic serdecznych zaczerpał realnej treści do potężnego pomysłu — skrzących się tłumów pospólstwa u stóp chłopki-bohaterki. Z prostych, surowych ram wyrywa się, jak tragiczny epizod dziejowy, scena pełna grozy, powagi i straszliwej siły. Wśród pogodnej nocy, pod tajemniczym znakiem komety, ciągnie przez ulicę Rheims, objęty potokami świateł łamiących się i zlewających w jedną wielką jasność, pochód, prowadzony przez Dziewicę Orleańską.

Dwie fale płyną nieprzepartym prądem przeciw sobie — orszak królewski z całym średniowiecznym taborem przepychu i armatury— i tłumu ludu, tego namiętnego ludu południa, rzucające się do stóp wybawicielki. Na środku obrazu, na granicy dwu żywiołów: dworu i ludu — żywy, rozwarty mur ludzki osłania w całości postać natchnioną wieśniaczki. Ubrana w jasne blachy zbroi, w błękitną tunikę, siedzi na karym koniu, cała zatopiona w siebie, blada, z pełnemi nadziemskich blasków oczami, jakby drżąca przed sobą samą, przed tą siłą, która w niej spoczęła, przed zadaniem olbrzymiem. To nie kobieta zwyczajna, ogarniona zapałem walki i miłości kraju, ale wcielenie potęg, które w niej znalazły wyraz widomy i wiodą ją po drodze fatalnej, silniejsze nad wolę, nad uczucia niewieście, gdzieś daleko, gdzie cały naród znajdzie spokój i uszczęśliwienie, tylko ona przecierpi męki wstydu, pogardy i haniebnego stosu. Sama bez woli, rządzi milionami; sama skazana — wiedzie kraj cały do wolności. Dla niej nie ma szczęścia wśród ludzi, ani przy ognisku domowem, ani na dworze królów, ona nie należy już do widomego świata, jej świat wyżej, wśród postaci, które ją, pasterkę, otaczały, które widziała wśród gałęzi dębu za wsią rodzinną, które szły nad nią spokojną w grozę walki, na przelew krwi nieprzyjaciół, które płyną teraz w powietrzu z lilią, symbolem dziewictwa, róż wieńcem i mieczem ognistym. Trzy postacie świętych, unoszące się po nad tłumem, związane mistyczną rozmową z Joanną, nie są zbytecznym dodatkiem anachronistycznych pojęć artysty, ale głęboko odczutym motywem psychologicznym na tle średniowiecza i posłannictwa orleańskiej dziewicy. Tych postaci nie widzi nikt prócz Joanny, a w obrazie wszyscy na nią tylko patrzą. Wśród tłumu toruje jej drogę trzech jeźdźców wspaniałych. La Hire w szkarłatnym płaszczu i pysznym hełmie skrzydlatym, obok Dunois, potężny typ magnata, niosący na poduszce koronę z mieczem i herold otrębiający pochód. Jeźdźcy, wychyleni z mroku nocy, panują wyniośle nad tłumem. rwanym się do nóg rumaka dziewicy. Za Joanną postępuje król, otoczony dworem pod bogatym baldachimem. Koń jego biały, pokryty złotą kapą, obok jedzie królowa, w tyle księżę d'Augoulême i królewska przyjaciółka, zalotna Agnieszka Sorel w niebieskiej sukni, z sokołem na ręku — piękna i rozkoszna, jakby zagniewana, że nie może ściągnąć na siebie oczów wszystkich, że nie jest królową wjazdu.

Wśrod tego rozwiązłego a znudzonego swym ceremoniałem dworu rysuje się wyraziście surowy, jak z kamienia wykuty profil Richemonda, w stalowy zakutego szyszak. Za dworem idą tłumy żołdactwa, jeden ciągnie na smyczy warczącego brytana, drugi wlecze w kurzawie sztandar angielski, inny podzwania kajdanami, które wyniósł z niewoli najeźdźców — wszystko średniowieczne postacie wojaków, dzikie, rozpasane. Od lewego brzegu obrazu, ku środkowi, prze się ciżba ludu, witającego Joannę z uwielbieniem, ogniem, z wiarą, że koniec już wszelkiemu złemu, skoro dziewica w mury miasta przybyła. To nie dodatkowe postacie ludowe, z dawnych obrazów mistrza, ale główne figury utworu, ogniskujące w sobie zajęcie widza i znaczenie dzieła. Majestatyczne postacie starców, patrycyuszów Rheims'u i matron pełnych godności mieszają się z młodzieżą cechową, wśród której wiedzie rej na pół nagi, przepyszny czeladnik rzeźniczy. Niczem niewstrzymana moc bije z tego tłumu, który w poczuciu swej siły, na widok Joanny, nie zna monarchy, nie zna hetmanów i mocarzów, nie ma dla nich ani jednego okrzyku, ani jednej garstki kwiatów, tylko korzy się w prochu przed wiejską dziewczyną, chłopską córką, przez moc natchnienia dobrej sprawy wywyższoną nad kościół i panów. Uosobieniem poruszenia ludowego jest wieśniaczka w jaskrawej, czerwonej sukni, która rzuciła się na kolana do strzemienia Joanny i nagie dziecię podnosi wysoko w górę, a mąż jej schyla się obok, by ucałować kraj szaty bohaterki. Chłopka energiczna, tej samej rasy, co Joanna, przedarła się przez tłumy, w rozwianej odzieży, z rozpuszczonym od pośpiechu włosem, wyprzedziła męża—nie bała się ani rumaków rycerskich, ani widoku królewskiej pary — byle docisnąć się do dziecięcia ludu, zbawicielki Francyi.

Taką scenę namiętną dał Matejko pod tytułem historycznego wjazdu do Rheims, choć prawidło szkolarskie kazałoby raczej podstawić akt koronacyi lub zdobycie Rheimsu. On opuścił utartą ścieżkę historycznego malarstwa i chwyta moment niby przypadkowy: rzucenie się rozszalałego entuzyazmem ludu i zatrzymanie Joanny na ulicach miasta z pominięciem etykiety dworskiej i ceremoniału. Cały orszak królewski, Richemond'y, Sorel'e, Dunois'y— o wspaniałym blasku strojów, zbroi, koni i tkanin, cały ten niezrównany aparat kolorystyczny, jest tylko oparciem, bezbarwnem moralnie tłem dla ludowej na wskróś sceny...

W. P.

Literatura czeska.

Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego i zielonogórskiego.

IV.

Łatwo przewidzieć można było, iż spór ten znajdzie odgłos poza granicami czeskiemi. Nieżyczliwi czechom niemcy chętnie podnoszą każdy szczegół wojny literackiej, prowadzonej w Pradze i kują sobie z tego pociski na nielubionych sąsiadów, którym nie mogą wybaczyć wyłamania się z pod kurateli germańskiej. I w świecie słowiańskim zatarg praski musiał się odbić głośnem echem. Poważne zbioropismo, wychodzące w Berlinie, p. t.: *Archiv für slavische Philologie*, do którego redakcyi należą dwaj rodacy nasi, profesorowie Brückner i Nehring, poświęciło w ostatnim zeszycie swoim kilka kart nadwełtawskiej walce literackiej; treść ich zamieszczę poniżej. Tymczasem zanotować wypada zapowiedź ukazania obszernej rozprawy profesora wszechnicy czeskiej Golla, o czem mi donoszą z Pragi; uczony ten znany jest jako przeciwnik wiarogodności rękopisów. Charakterystycznem jest to, że pracy p. Golla nie chciało drukować żadne czasopismo czeskie, wyjąwszy, ma się rozumieć, *Athenaeum* p. Masaryka, dla którego wszakże artykuł pana G. był zbyt obszernym. W swoim czasie zdam sprawę czytelnikom *Prawdy* o tym nowym a zapewne ważnym przyczynku do zatargu; dzisiaj pomówię o dowodach przeciw rękopisom, nagromadzonych w dwóch ostatnich zeszytach *Athenaeum* i o głosie prof. Jagić'a w *Archiv*'ie.

Nie wchodząc w drobne szczegóły, notuję tylko, że zdaniem p. Masaryka, ze stro-

ny paleograficznej wiele mocnych zarzutów uczynić można obu rękopisom. Najciekawszym jest następujący:

Prof. Hattala oświadczył (dość zresztą ryzykownie) w toku rozpraw, że jeżeli w rękopisie królowodworskim, w pieśni „Ludisza i Lubor,“ wierszu 33, stoi napisano *bodrosť*, ale nie *bedrosť*, to w takim razie uznać gotów, że rękopis jest podrobiony w nowszej epoce. Dodać tu winienem, że gdyby język czeski posiadał wyraz, odpowiadający starosłowiańskiemu *bъdrъ*, rosyjskiemu *bodryj* (dzielny, śmiały), to, według praw głosowni słowiańskiej, musiałby on brzmieć po czesku *bédrý* (według analogii starosłow. *dъždь* ros. *doždь*= czeskiemu *dešť*, pols. *deszcz*, albo: starosł. *dъska*, ros. *doska*=czesk. i pols. *deska* itp.). Jakże jest w rękopisie? W drukowanych jego kopiach stoi *bodrosť*, ale w samym zabytku coś nakształt *bedrosť*: powiadam „coś nakształt,“ bo w tem właśnie cała waga kontrowersyi się ześrodkowuje. Owo sporne *e* jest podskrobane! Widocznie napisane było *o*, ale potem wyskrobano cząstkę jego, z prawej strony u góry i zrobiono *e*. Przepisywacz rękopisu królowodworskiego wszędzie, gdzie pisał zgłoskę *bo*, łączył *b* z *o*, robiąc z dwóch tych głosek tak zwaną ligaturę; tam zaś, gdzie pisał *be*, stawił te głoski bez ligatury. Otóż w wyrazie *bodrosť* owo podskrobane *e* łączy się z *b*; żadnej przeto nie ma wątpliwości, że pierwotnie było *bo*.

Chcąc bronić rękopisu do upadłego, możnaby utrzymywać, że pisarz po prostu się pomylił, pisząc *bodrosť* zamiast *bedrosť* a potem się spostrzegł i przerobił *o* na *e*, ale słaba to obrona, bo pomyłka właśnie w tak drażliwym punkcie daje pole do podejrzeń. Jeżeli np. u nas w pewnym tygodniku literackim, w numerze 53, znalazło się hasło *napszód, napszód!* to redaktor jego będzie się może tłomaczył prostem *lapsus pennae*, albo też nieumiejętnością zecera, ale w sercu czytelnika zostaną na zawsze brzydkie podejrzenia... Co innego, gdyby było np. *napród, napzód* lub coś podobnego!

Otóż tak samo i w rękopisie nas zajmującym; gdyby było zamiast *bodrosť* dajmy na to *bdrosť*, *bydrost*, albo coś w tym rodzaju, to hydra podejrzeń spałaby cicho; ale, gdy się wie, że rękopis zawiera dużo innych barbaryzmów, że pisarze z doby pojawienia się jego łatali się mnóstwem wyrazów rosyjskich, właściwych tylko słowianom wschodnim, wtedy *bodrosť*, zamiast wymaganej postaci *bedrosť*, staje się powodem do rozmyślań nieprzychylnych autentyczności.

Dodajmy nadto, że wyrazów, któreby odpowiadały formalnie osnowie starosłowiańskiej *bъdr*, słowianie zachodni w językach swoich nie mają.

Redakcya *Athenaeum* kazała zdjąć powiększony fotogram z owego nieszczęsnego wyrazu i dołączyła go do zeszytu majowego, aby każdy mógł się naocznie przekonać o wiele mówiącej pomyłce...

Oprócz licznych zarzutów ze względów paleograficznych, zeszyt kwietniowy pisma tego mieści obszerne rozprawy: o korekturach w rękopisach przez p. Truhlářa; artykuł polemiczno-gramatyczny p. Gebauera; takiż p. Opatrnego; o krytycznej metodzie filologicznej wogóle, przez p. Krála; ciąg dalszy porównania mowy rękopisów z utworami z początku w. XIX, przez kilku autorów; rozbiór estetyczny rękopisów, przez p. Masaryka, rzecz wybornie i umiejętnie napisana; żałuję bardzo, iż nie mogę tutaj wdać się w szczegółowe powtórzenie zarzutów, w tym artykule nagromadzonych; streszczę tylko wnioski autora, oparte na mnóstwie dowodów pojedynczych.

Naprzód: Poezye epickie rękopisów, powiada on, nie odznaczają się zgoła tą jasnością i plastycznością, które znamionują lepsze tego rodzaju utwory. Brak im konkretności poetyckiej, a to źle świadczy o ich wartości, szczególnie wobec faktu, że są słowiańskiemi. Ani kompozycya, ani pomysłowość świetnemi nie są: mnóstwo tam powtarzań słów, zdań i obrazów; bitwy opisywane według jednego wzorku; zewsząd wyziera teatralność, naciąganie, niezręczność. „Chatterton uniknął hańby samobójstwem; nasz fałszerz spoczywa w zimnym grobie — wieczny mu pokój! Ale ci rozgłaszają jego i narodu hańbę, co bez rozwagi i przeświadczenia moralnego starają się utrzymać zabytek, z którego nie wyrosło i nie wyrośnie nic zdrowego, bo fałsz w zarodku niszczy żywot narodu.“

Dalej pan M. wnioskuje, że poezye rękopisów nie są ludowemi; dość przyjrzeć się wyrazom złożonym, używanym w nich, aby się o tem przeświadczyć. Taki przymiotnik np. *wysokorosłe* drzewa jest kopią niemieckiego *hochgewachsen* *); a cóż to za dziwotwory: *długopusty* las, *mięsożrawy* dziób, *jarogłowy* tur, *grozonośny* skrzek, *prawdodatne* deski, *świętocudna* woda i wiele innych takich! Toż mają być staroczeskie, ludowe wyrazy! Nic zresztą w tem dziwnego: autor rękopisów, pisząc je około r. 1817, nie mógł jeszcze znać ducha pieśni ludowych, bo dopiero później nauczono się go czuć i naśladować.

Zdaniem p. M. pieśni obu rękopisów są dziełem *jednego* jakiegoś kółka literackiego. Są one utworami nowożytnymi: widać to z niezdolności ich konkretnego mówienia o stosunkach dawnych, z braku opisów szczegółowych, imion bogów i ludzi, z nieznajomości sposobu dawnego walczenia, z sentymentalizmu czysto Wertherowskiego.

Zdaje się, że przynajmniej dwóch było poetów: jeden pisał utwory liryczne, drugi, lepsze nieco od tych, epickie. Obaj pisali zapewne po nowoczesku, a potem ktoś przelał je w formę staroczeską; uczyniła to prawdopodobnie jedna osoba, bo się trzymała dość konsekwentnie jednakich form i, dodajmy, jednakich błędów gramatycznych.

Pan Seydler popiera matematyką zarzuty przeciw rękopisom: na zasadzie szczegółowego rachunku prawdopodobieństwa, dochodzi on do wniosków: że tak zwane właściwości językowe rękopisu królowodworskiego (raczej zboczenia) nie są przypadkowemi, to twierdzić można z pewnością 3000 miljonów przeciwko 1; że zgodności tych zboczeń rękopisu z takiemiż u Hanki, przed jego ogłoszeniem, nie są również przypadkowemi, to utrzymywać można z pewnością 13 milionów przeciw 1 i t. d.; wreszcie autor stawi 100 bilionów przeciw 1, że zgodność mowy rękopisu z publikacyami XIX w., drukowanemi przed r. 1817, nie jest przypadkowa.

Resztę zeszytu kwietniowego zajmuje polemika z najnowszemi głosami obrońców.

Na czele zeszytu majowego czytamy wymowne ogłoszenie: że dotychczasowy nakładca *Atheneum* ustępuje to pismo p. Masarykowi; to znaczy, że nie ryzykuje nadal nakładu swego na tak niebezpieczne wydawnictwo! Pocieszamy się tuż zaraz zamieszczonem oświadczeniem szanownego profesora, że sam będzie nadal i redaktorem i nakładcą.

Tymczasem znajdujemy w zeszycie ostatnim ciąg dalszy polemiki, zbrojnej w coraz to ostrzejsze pociski. Nasamprzód pan M. zwraca uwagę na niezwykłe u pisarzy staroczeskich skrócenia i pisownię niektórych wyrazów; potem p. Gebauer odpowiada na zarzuty przeciwników i zwycięsko się broni, dowodząc, iż dotychczas nikt jego wątpliwości językowych nie odparł należycie.

(D. n.).

Jan Karłowicz.

*) Może raczej żywcem z rosyjskiego wzięty. *J. K.*

LITERATURA FRANCUSKA.

P. Mongeolle. **Les Problèmes de l'histoire.** Paryż, 1886.

P. Mongeolle, znany już jest z pracy p. t. *La Statique des Civilisations*. Należy on do nowszej szkoły socyologicznej; w pracy, którą wymieniliśmy w nagłówku, stara się określić bliżej prawo i przyczyny postępu. Zdaje się zresztą mieć pretensyę do wykrycia całkiem nowego prawa, lubo odświeża tylko i rozdyma nadmiernie starą teoryę Monteskiusza o wpływie klimatu. Według owych *Historycznych zagadnień* cywilizacya poczyna się w krajach ciepłych, łatwość bowiem wyżycia w tem otoczeniu sprzyjać ma rozwojowi i doskonaleniu się. Cywilizacya urodzona w krajach podzwrotnikowych posuwa się ku biegunom — oto nader proste istotnie prawo, wykryte a raczej wymyślone przez autora. Pan M. wyłącza takie czynniki z historyi jak: rasa, religie, wpływy wielkich ludzi, tradycye, zdarzenia i okoliczności przypadkowe, ustrój ekonomiczny, społeczny i polityczny i t. d. Odpowiedzialność za postęp i cywilizacyę spoczywa na klimacie i warunkach przyrodzonych, do których się człowiek przystosowywa. Całą tę teoryę słuszną poniekąd, gdy idzie o niższe istoty i organizmy, należałoby zmienić w odniesieniu do stosunków ludzkich. Nie wchodzę w przedmiot bliżej, wiadomo jednak powszechnie, że w biologii objawia się dziś reakcya przeciwko skazywaniu wszelkich istot żyjących na bezwzględną zależność od otoczenia i bierność bezwładną. Organizm jest ogniskiem sił i twórczej energii; człowiek nie przystosowuje się do warunków otoczenia, lecz z nimi walczy i cała cywilizacya jest właśnie szeregiem zwycięstw w tej walce. P. Mongeolle z namiętnością świeżo nawróconego deterministy powstaje także przeciwko przypisywaniu szczególnego znaczenia wielkim ludziom i ideom, człowiek jest tylko biernym pionkiem — głównym działaczem klimat! Deterministyczny ten fatalizm ma jeszcze racyę w pojęciach Wschodu, gdy po za tajemniczem fatum stoi jakieś bóstwo, jakaś potęga, która losami świata, w niepojęty dla maluczkich sposób, kieruje. Gdy jednak na miejsce owej *Ananke* postawimy klimat, rzecz staje się śmieszną. W przeszłości rodu ludzkiego było oczywiście dużo bardzo okrzyczanych za wielkich, którzy na tę sławę niezasługiwali; było natomiast wielu maluczkich i zapoznanych, którym przyszłość dopiero wyrządziła uznanie. Byli zresztą i tacy, których ominęła i ta nagroda. Dzieje całe składają się właśnie z takich większych lub mniejszych aktów jednostkowej energii, dobrych lub złych. Jeden drobny czyn przytem jest często jak mały kamyk rzucony na gładką powierzchnię jeziora, który zatacza coraz szersze kręgi. Ludzka myśl, wola i energia są także czynnikami postępu, wcale niepoślednimi, chociaż się w to nie zgadza p. Mongeolle.

Wracając do jego pracy, dodajemy jeszcze, że brak jej wszelkiej metody i ścisłości; nie zbywa jej natomiast na licznych faktach i pouczających drobiazgach—szczególniej w kierunku owych wpływów klimatycznych. Rzecz pisana jest z francuską lekkością, a chcielibyśmy dodać i—lekkomyślnością.

B. Gendre (Mme Nikitine). **Etudes sociales, philosophiques et morales**, avec une notice biographique, par le dr Ch. Letourneau. Paryż, 1886.

W obszernym tomie o 407 stronicach zebrano tu szereg rozpraw, pisanych w ostatnich kilku latach i pomieszczanych głównie w *Nouvelle Revue* i *Justice*. Autorka ich, pani Nikitin, z domu Gendre, urodziła się i wychowała w Rosyi, ostatnich jednak lat piętnaście swego życia spędziła za granicą, we Włoszech i Francyi, pisać zaś zaczęła od roku 1879. Zmarła przedwcześnie w r. zeszłym w Paryżu. To też na czele tego zbiorowego wydania jej prac mieści się życiorys pani Barbary Gendre, ciepło nader skreślony przez przyjaciela jej, znanego profesora szkoły antropologicznej, p. Letourneau. Autorka wiele czytała, wiele przeżyła i widziała, wzięła się więc do pióra. Zajmowały ją najżywiej sprawy społeczno-polityczne, obok krytyki literackiej i ogólnych zagadnień filozoficznych. Z licznych studyów, zamieszczonych w tym zbiorku, na wyszczególnienie zasługują: rzecz o Irlandyi, o partyi robotniczej i socyalistycznej, oraz katolickim socyalizmie w Niemczech, o unarodowieniu ziemi według George'a i Wallace'a, o ruchu rosyjskim, o Turgeniewie i realizmie rosyjskim, o psychopatyi w historyi i socyologii itp. We wszystkich tych pracach obok gruntowności i ścisłości naukowej czuć umysł wrażliwy i gorące przejęcie się przedmiotem. Gendre rzuciła się w wir dziennikarstwa gorączkowo, z całem zamiłowaniem do tej pracy — umarła jednak przedwcześnie z wielką szkodą dla publicystyki francuskiej, w której umiała sobie, w lat kilka, wybitne stanowisko wywalczyć. Na mogiłę jej rzucono kilka wieńców, uwitych z szczerego współczucia i głębszej sympatyi.

V-te E. M. de Vogüé. **Le Roman russe.** Paryż, 1886.

Tom ten obejmuje szereg rozpraw o literaturze rosyjskiej, pisanych przez jej wytrawnego znawcę p. wicehrabiego Melchiora de Vogüé. Wszystkie one prawie drukowane były kolejno w *Revue des deux Mondes* z dwu lat ostatnich. Obecnie autor złączył je w jedną całość i zaokrąglił. Spis rzeczy da nam niejakie o tej książce wyobrażenie. Przytaczamy go: Wstęp. Początki, wieki średnie i klasycyzm. Romantyzm — Puszkin, Rozwój realistyczny i narodowy — Gogol. Piąty dziesiątek lat — Turgeniew. Religia cierpienia — Dostojewski. Nihilizm i mistycyzm — Tołstoj. We wstępie autor wyznaje, że nie chodziło mu jedynie o napisanie informacyjnego podręcznika. Chciał przedewszystkiem pracować nad zbliżeniem obu społeczeństw, pragnął przytem realizm powieściowy rosyjski postawić za wzór francuskiemu. P. Vogüé jest istotnie przeciwnikiem francuskiego naturalizmu, któremu zarzuca zbyt fizyologiczną jednostronność, malowanie jedynie ujemnych stron życia i brak wszelkich moralno-społecznych ideałów. Etyczny ten pierwiastek obok realizmu w przedstawieniu przedmiotu dostrzega w pisarzach rosyjskich i dlatego stał się jednym z najgorliwszych apostołów literatury rosyjskiej we Francyi. Krytyczne jego artykuły przyczyniły się głównie do wziętości, jaką prace pisarzów rosyjskich cieszą się dziś we Francyi. Przyznać należy, że artykuły te pisane są z niepospolitem mistrzowstwem i znajomością przedmiotu, noszą jednak na sobie piętno jednostronnego upodobania. Niechęć do naturalizmu francuskiego, którą ujawnia autor, ma swe źródło nietylko w brakach tego kierunku, lecz także w konserwatywnym nastroju poglądów krytyka. Zoli i innym naturalistom francuskim nie można w zupełności odmówić etyczno-społecznych dążeń; jeżeli one nie zawsze objawiają się w słowach, wypowiadanych przez autora, przebijają się jednak z całego przedstawienia rzeczy. Francuskiego krytyka pociąga jednak więcej rezygnacya poddania się Dostojewskiego i chrześciański nastrój Tołstoja. Tego istotnie nie ma u naturalistów francuskich.

P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wszędzie obecny. — Letni karnawał. — Apoteoza konia. — Stajnia w malarstwie. — Wyścigi i wystawa. — Dyablik skaczący w oczy cudzoziemcowi. — O czem ciągle marzy ks. Bismark. — Co szkodzi Europie nasz taniec. — Środki walki o byt. — Dobrzy piastunowie.

....Wesoło bawimy się w obecnym karnawale letnim: ogród Saski o wszystkich godzinach ledwie pomieścić może wystrojone, rozkoszne, mające dużo czasu do stracenia, a nadewszystko liczne towarzystwo, na wystawie gwarno i przyjemnie, a na wyścigach — Boże, sam powiedz, czy można żyć bez tej rozrywki i totalizatora! My wszyscy — o ile mamy chwilę wolną od rozmyślań; czem jutro nakarmimy siebie, żonę i dzieci — jesteśmy sportsmenami. Począwszy od małych chłopiąt, które zaprzęgają się w lejce i błagają furmana, ażeby im pozwolił powozić, a skończywszy na subjektach handlowych — każdy niemal jest miłośnikiem konia, zna rodowody i zwycięstwa Przedświtów, Perkunów, Fine-Mouche'ów. Pewien malarz powiedział do mnie kiedyś: ach, panie, gdybym miał jakąkolwiek szkapę, mógł ją wprawiać w ruch i ustawiać według woli... Zrozumiałem i oceniłem to głębokie westchnienie. Połowa malarstwa naszego mieści się w stajni, a są artyści, którzy na koniach zyskali dla swego pędzla wielką sławę. Psy, koty, owce, woły, krowy, lisy, zające chociaż występują czasem na obrazach, nie budzą w widzach zapału. Dopiero koń — stojący, leżący, idący, biegnący kłusem lub galopem, zdychający lub wierzgający — to bohater dramatów, komedyj i sielanek. Nic też dziwnego, że ogół wychowany w czci i miłości dla „szlachetnego stworzenia," ogląda je, podziwia i wielbi, gdzie może: w cyrkach, na wystawach i wyścigach. Rozumie się na wystawie inwentarza koń zajmuje plan pierwszy i koi wzruszeniami przyjemnemi smutki społeczne. Wobec niego nawet niewolnik pląsa do bezprzytomności. Na hodowli inwentarza nie zna on się wcale, zresztą z roku na rok trudno mu dostrzedz w niej widoczne postępy, więc cieszy się widokiem szeregu poślednich części okazów w zagrodach, jeśli na widowisko jazdy lub spaceru popisowego nie trafi. To mu wystarcza.

Korespondent *Moskowskich Wiedomosti* z Berlina opowiada, że ks. Bismark „we śnie i na jawie marzy tylko o tem, jakby zgnębić polaków: kogo spotka lub przyjmie u siebie, każdą rozmowę sprowadza ustawicznie na ten przedmiot i mówi o nim nieustannie." Ma on nawet nosić się z myślą podjęcia środków „międzynarodowych" przeciwko nienawistnemu żywiołowi, a zamiary jego „są tak rozległe, że potrzeba będzie ze dwa lub trzy dziesiątki lat ciągłej roboty w pożądanym kierunku." I skąd ta zajadłość? „Nie należy wątpić — powiada korespondent — że polacy chcą tylko przeczekać burzę a tymczasem pracują w dalszym ciągu nad krzewieniem nienawiści w Austryi względem „heretyków i barbarzyńców;" pracują też gorliwie we Francyi, mają nawet pewne wpływy zarówno śród republikanów, jak śród orleanistów, pozostających w pokrewieństwie z „dynastyą polską." Kanclerz niemiecki wtedy jedynie urwałby łeb hydrze, gdyby zburzył „formalne państwo polskie" pod berłem habsburskiem, będące źródłem wszelkiej agitacyi polskiej nawet w Prusach... Doprowadzenie Galicyi do stanu bardziej normalnego i tak urządzenia jej bytu, iżby teraźniejsze nieprawości nie były możliwe, leżałoby również w widokach Austryi, która nie cofnie się przed takim krokiem, skoro o jego skuteczności się przekona..."

Przebaczcie mi wszyscy smutni, wszyscy uznojeni, wszyscy poważnie spoglądający w surowe oblicze losu, że snując powyższe uwagi, nie wyłączałem z nich was, choć miałem na myśli. Pamiętam, że jesteście i że zasługujecie na osobne miejsce. Ale pomimo wszelkich pierwiastków dodatnich, niestety przyznać trzeba, że większość nie dorasta do wysokości trudnych zadań obecnej chwili i tylko zbliża się do nich płocho. Przytyczkami w nosy właścicieli niemieckich zakładów kuracyjnych rozbijamy mury germanizacyi, sukienką wełnianą przerabiamy rozrzutne budżety domowe, próżniaczą włóczęgą po knajpach i po miejscach publicznych zabijamy czas wolny po straconej służbie, śmiechem wypłaszamy upiory, w kłamstwa obwijamy prawdę dręczących zagadnień, walcząc cicho i głośno o język ojczysty, wymiatamy go pawim ogonem francuszczyzny z byle saloniku i depczemy sami ten klejnot, zanim go inni na śmiecie wyrzucą. Kpiną, frazesem spychamy z porządku dziennego życia kwestye, których rozwiązanie wymaga długich lat mozołu i poświęceń, zawsze gotowi zadowolić się i pocieszyć lada pozorem tryumfu. Gdy niemcy zamiar piwowarów warszawskich używania chmielu krajowego nazwą „planem piekielnym," gdy komora na granicy pruskiej wykaże zmniejszoną ilość przejezdnych z Królestwa, gdy kupiec warszawski zerwie stosunki z hamburskim — zdaje nam się, żeśmy zrobili olbrzymi krok na drodze wyzwolenia ekonomicznego, że wygraliśmy stanowczą bitwę.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przygoda korespondenta amerykańskiego. — Urywek rozmowy z nim. — Rozgraniczenie gruntów włościańskich i dworskich. — Jeszcze o kolonizacyi żydowskiej.

Ponieważ, jak powiada p. Stępkowski z okazyi otwarcia letniego lokalu przy swoim handlu win i delikatesów, „żyjemy w czasach, w których na rozkaz kapitału wszystko spełnia się szybko: przekopują się morza, a na pustyniach, jakby z pod ziemi, wyrastają miasta," ponieważ dalej „niczemu już dziwić się nie można" — jak dodaje ten sam p. Stępkowski — bardzo jest naturalnem, że przedstawiciel dwóch potęg kapitału, który łaskawie wspierał prasę i prasy, która wdzięcznie sławi kapitał — *New York Herald* zapragnął posiadać pewne wiadomości o stanie społecznym ekonomicznym naszego kraju. Amerykanie są dziwacy i interesują się nieraz sprawami, które chociaż nas dotyczą, nie obchodzą nas zgoła. Mniejsza zresztą o pobudki, dosyć wiedzieć, że „na rozkaz kapitału" własny korespondent amerykańskiego dziennika mr. James Rosenberg „wyrósł" nagle w Łodzi i rozpoczął badanie miejscowych stosunków w nader oryginalny sposób: zanim bowiem rozejrzał się po mieście, wpakowano go do kozy, gdzie w towarzystwie, jakby

to grzecznie powiedzieć... ekonomistów, z początku sławionych a potem milczeniem osłanianych, spędził dwa miesiące i tyleż czasu jeszcze spędzi. Grzeszna ciekawość amerykanina została już należycie ukaraną, ciekawym jest jednak sposób badań p. korespondenta, który właśnie doprowadził go do tak przykrego położenia.

Mister James studya swe rozpoczął od poznania miejscowych trunków, które znalazł niżej wszelkiej krytyki i ta okoliczność rozdrażniła go wielce. Dziwne, właściwe chyba amerykanom kojarzenie pojęć z miejsca cząstkowej sprzedaży napojów skierowało kroki jego do sądu pokoju. Tutaj odrazu nie podobało się awanturniczemu jankesowi towarzystwo dwóch niechlujnych izraelitów, zapomocą więc zręcznie zastosowanego boksa wyrzucił ich z ławek na środek sali. Podczas sądzenia spraw niegrzeczny cudzoziemiec zachowywał się nieprzyzwoicie, kiedy zaś sędzia uwolnił jakiegoś żyda od położenia podpisu, z powodu soboty, mister James zaczął się śmiać tak głośno, iż to zwróciło powszechną uwagę. Sędzia rozkazał mu wyjść z sali, ale amerykanin nie nie posłuchał i wdał się w dysputę; wtedy przywołano policyę i awanturnika zaprowadzono do biura policmajstra. Tam korespondent zaczął rozprawiać głośno o mniemanej wyższości stosunków amerykańskich nad tutejszymi, nie chciał pokazać swego pasportu, wreszcie pobił policyantów. Oskarżony o spełnienie wykroczeń przeciw powadze władzy i porządkowi publicznemu w zeszłym tygodniu stanął przed sądem w Piotrkowie. Jak zaznaczyłem wyżej, obrona oskarżonego niewiele mu pomogła, został on bowiem skazany na 2 miesiące więzienia, przy uwzględnieniu okoliczności łagodzących winę. Nierozumiejący stosunków europejskich i po tej jasnej nauczce nie przestał twierdzić, że cała ta przygoda dziwi go wielce.

Dziwi go zresztą i wiele innych rzeczy, o których dowiedział się podczas krótkiego pobytu w Łodzi i dłuższego w więzieniu piotrkowskiem. Oto urywek rozmowy, jaką prowadził z nim jeden z „przyjaciół“ naszego pisma:

— My, amerykanie — rzekł on — dobrym obywatelem kraju nazywamy takiego człowieka, który nietylko spełnia gorliwie przepisy prawa i obowiązki względem swoich współziomków, ale współczuje ich klęskom i bólom i uważa cześć narodu, jak swoją własną, wy zaś...

— My tak samo...

— Przepraszam. Czytałem bardzo niedawno w tutejszych Timesach i Heraldach sążniste pochwały obywatelskich uczuć i czynów mistera Izraela Poznańskiego. Tymczasem z tych samych dzienników dowiedziałem się prawie równocześnie, że ten sam mister Poznański podczas pożaru miasta zabrania czerpać wodę ze swych studni, że wreszcie, urządzając przy swej fabryce straż ogniową, pisze list do Berlina, prosząc o przysłanie stamtąd instruktorów, którzy, rozumie się, zaprowadzą komendę w niemieckim języku. Wobec ostatnich rozporządzeń m-ra Bismarcka, postępek tego rodzaju jest obelgą dla uczucia narodowego. Wprawdzie ewangelia mówi coś tam o podstawianiu lewego policzka, ale nawet my amerykanie, którzy na pamięć umiemy Biblię, w polityce nie szukamy w niej wskazówek; mr. Poznański zaś, pomimo pochodzenia biblijnego, nie ma żadnej łączności z nowym zakonem, tylko ze starym, głoszącym wręcz przeciwną maksymę. Kiedy w Shanghai jakiś chińczyk znieważył nieprzystojnym gestem gwiaździstą flagę Stanów Zjednoczonych, przechodzący wówczas przez ulicę majtek, Joe Collins, jakkolwiek nietrzeźwy, tak żywo uczuł tę obrazę honoru narodowego, że oberwał zuchwalcowi warkocz i chociaż później musiał się cofnąć przed liczbą, pokrwawione nosy i powybijane zęby chińczyków świadczyły wymownie, jak prawy obywatel amerykański broni honoru swego kraju. Dowodzący eskadrą admirał jeszcze żywiej odczuł obelgę już podwójną, bo flagi i obywatela Stanów Zjednoczonych i nie licząc zabitych chińczyków, zabrał z miasta za 2 miliony dolarów bawełny. A przecież tutaj chodziło tylko o cześć kawałka płótna i część jednego człowieka, zwykle nietrzeźwego, chociaż zresztą bardzo porządnego gentleman'a. U nas Vanderbildty i Mackaye łożą stokroć większe sumy na cele publiczne, aniżeli mister Poznański, żaden z nich jednak nie ośmieliłby się w drobiazgu nawet obrazić uczucie narodowe...

„Przyjaciel naszego pisma“ zmuszony był milczeć.

— Powiedziałem, że u nas ludzie więcej stokroć, niż u was, troszczą się o sprawy, dotyczące dobra ogółu. Jeżeli z czyjej inicyatywy powstanie jakaś pożyteczna instytucya, to chociaż potem pierwotny kierownik jej zniewolony będzie usunąć się, znajdzie się natychmiast inny, który go zastąpi i rzecz dobrze zaczętą poprowadzi dalej, owszem często nawet rozwinie i ulepszy. Nie przeszkadza to nam jednak szanować zasług inicyatora, którego imieniem zwykle dzieło jego chrzcimy. Tymczasem u was, jak słyszę, dzieje się wręcz przeciwnie...

Dużo jeszcze mówił gadatliwy mr. James Rosenberg, ale nie wszystkie jego zbyt amerykańskie poglądy nadają się do druku. Przyjaciel nasz pragnął rozpytać praktycznego amerykanina, co też sądzi o tutejszokrajowych stosunkach ekonomicznych. Korespondent *Heralda* oświadczył jednak, że ma o nich bardzo niejasne wyobrażenie. Pewne wskazówki dał mu jeszcze w Ameryce p. Rembertowski, zalecając zasięgnąć bardziej szczegółowych informacyj u swego następcy w ekonomii warszawskiej. Przyjaciel nasz zawiadomił p. Rosenberga, że obiecujący młody uczony odbywa obecnie studya w więzieniu. Amerykanin ucieszył się wielce tą wiadomością i postanowił zabrać z nim znajomość w pracowni, albo raczej w miejscu przymusowego spoczynku. Jako prawdziwy jankes lubi on bardzo oryginalne poglądy. zaciekawiły go więc bardzo zapatrywania ekonomistów tej „szkoły“ na własność publiczną i prywatną. P. Rosenberg dziwił się tylko, że dzienniki miejscowe milczą o apostole, któremu niedawno służyły za ekonomiczną trybunę, grzebiąc w popiele zapomnienia śmiałą jego zasadę o równoważności kradzieży z własnością, chociaż tę samą zasadę, stosowaną przez mizeraków, chłoszczą na ich skórze uroczyście... Ale czas już pozostawić szanownego amerykanina w spokoju i przejść do spraw, o których nie może on wyrzec żadnego zdania z powodu nieznajomości stosunków krajowych.

Jednocześnie z oczekiwanem rozwiązaniem sprawy czynszowniczej, nastąpić ma obowiązkowe rozgraniczenie gruntów włościańskich od dworskich w t. zw. kraju zachodnim. Dotychczas na mocy postanowienia *tymczasowego*, trwającego już 25 lat, włościanie i dwory mają prawo wspólnego pastwiska na swoich gruntach. Postanowienie tego rodzaju obowiązkowo prawie podtrzymywało trzypolówkę i tamowało wszelki postęp rolniczy. Właściwie uważano je za korzystne dla chłopów, tymczasem w niektórych miejscowościach, zwłaszcza na Ukrainie okazało się wręcz przeciwnie. Znaczna część obszarów dworskich zajęta jest tam pod uprawę buraków, bydło włościańskie niewiele znajduje pożywienia, natomiast inwentarz dworski korzysta z pastwisk chłopskich. Wogóle jednak na wspólności pastwiska lepiej wychodzą włościanie i przymusowa regulacya gruntów, bez żadnego wynagrodzenia, byłaby z ich krzywdą. Dotychczas w tych majątkach, gdzie następowało dobrowolne rozgraniczenie, obywatel dawał za zgodę po kilka morgów gruntu na osadę, zapewne więc i teraz wyznaczona zostanie pewna norma wynagrodzenia. Rozgraniczenie wymagać będzie wiele pracy i kłopotów, zwykle grunty włościańskie znajdują się w trzech polach, co najmniej więc w trzech kawałkach, czasem zaś w szościu, dziewięciu lub nawet dwunastu, obecnie będą one połączone w jeden dział, nastąpić więc musi szczegółowy pomiar i zamiana gruntów, która pociągnie za sobą ocenę gatunku wymienionej ziemi. Niejeden okaże się niezadowolonym z zamiany, w następstwie czego wynikną skargi i spory. Trudności tego rodzaju nie mogą jednak powstrzymać od wykonania rzeczy, uważanej powszechnie za niezbędną dla rozwoju rolnictwa, pomyślne załatwienie sprawy w znacznej mierze zależnem będzie od działań komisyi, więc od jej składu, w którym obie strony zainteresowane powinny mieć nietylko swoich rzeczników, ale i przedstawicieli.

Gazeta handlowa broni projektu kolonizacyi rolnej żydów, zapewniając, że nowi rolnicy wywrą bardzo dodatni wpływ na swych sąsiadów. Wpływ ten polega na tem, że żydzi nie biją żon swoich i nie mają między nimi pijaków. Jak tam jest istotnie — nie wiem, sądzę jednak, że dla chłopa niebezpieczniejszym od sąsiada, który pije wódkę, jest sąsiad, handlujący wódką. Należałoby także dla wyjaśnienia rzeczy powiedzieć coś i o wpływach ujemnych. Zresztą, przeciwnikom kolonizacyi nie o to głównie chodzi. Z bardzo małymi wyjątkami w zasadzie nikt nie jest jej przeciwnym, ale kolonizacya dotychczasowa jest sztuczną, więc z góry skazaną na niepowodzenia, w Galicyi zaś pozornie tylko ma na celu przyuczenie izraelitów do rolnictwa, właściwie zaś ułatwia im tylko osiadanie na wsi. Człowiek, który dostaje 2—3 morgi gruntu, nie utrzyma się z pracy rolnej i musi szukać innych zajęć, naturalna rzecz, iż zwróci się do tych, do których przywykł, tj. do handelku lub lichwy. Zamiast przesiedlać ludność miejską na wieś, należy raczej myśleć o polepszeniu jej bytu w dotychczasowych warunkach, wkrótce już bowiem zabraknie nam ziemi dla ludności prawdziwie rolnej. Ekonomiści, prawiący o słabem zaludnieniu naszego kraju, zapominają, a może nie wiedzą, że co do ilości ludności rolniczej na jednej mili kwadratowej zajmujemy jedno z pierwszych miejsc w Europie, niezbyt znaczne zaś ogólne zaludnienie kraju tłomaczy się tem, że procent ludności miejskiej jest stosunkowo niewielki. Na ulicach Warszawy snują się latem tysiące chłopów, szukających zajęcia, którego im już ziemia nie daje, czy jest więc sens myśleć o tworzeniu nowego zastępu rolników, kiedy obecny nie znajduje dla siebie odpowiedniej pracy? Chłop polski, który tak niechętnie rzuca ziemię ojczystą, coraz częściej szuka pola dla swej pracy na obczyznie i w poszukiwaniach tych wędruje nietylko do Ameryki, ale nawet na Syberyę. Jakiś ksiądz pisze do dzienników tutejszych z gubernii tobolskiej, że w powiecie barnaulskim osiedliła się partya wychodźców z Radomskiego. Biedacy ci czekają wiosny i wydzielenia gruntów, wzdychają do stron rodzinnych i cierpią straszną nędzę. „Okropnym jest — pisze ksiądz O. — widok tych ludzi stęsknionych i wynędzniałych, uciekających aż na krańce świata przed siłą żydowską i niemiecką.“

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Swiet zastanawiając się nad artykułami *Mosk. wied.* o prześladowaniu polaków w Prusach, pisze:

„Teraz karty tej gry są odkryte. Środki owe, jak się pokazuje, przedsięwzięto ku *obronie* ubogiego, odzieranego żywiołu niemieckiego we wschodnich obwodach Prus. W tym celu poufny okólnik pruskiego ministra spraw wewnętrznych poleca nadprezydentom Prus wschodnich i zachodnich, Poznania i Szląska, nie dopuszczać więcej wkraczania do tych prowincyj żywiołów polskich i wysyłać tych rosyjskich i austryacko-węgierskich poddanych narodowości polskiej, którzy tam przebywają bez pozwolenia władz pruskich. W chwili obecnej wydalenie przybyszów tych polskich dokonywanem jest ściśle i z nieubłaganą konsekwencyą; środki organiczne dla „zachowania i rozwoju żywiołu niemieckiego“ w polskich obwodach Prus uchwalił parlament, administracya zaś stosuje. Najistotniejszym z tych środków „organicznych“ jest przejście własności ziemskiej polskiej do rąk niemieckich, i to przeważnie włościańskich i protestanckich. Wobec pomyślnego też początku stosowania owych środków niemieccy przyjaciele nasi marzą już nareszcie, kiedy to niemcy, rozstrzygnąwszy w duchu narodowo-niemieckim kwestyę polską u siebie w domu, t. j. właściwie: wyzuwszy polaków z ziemi i wyrzuciwszy ich ze swoich obwodów polskich, będą obojętnie, jeżeli nie ze spółczuciem, patrzyły, jak podniesioną zostanie w Rosyi kwestya polska. Inni z tych przyjaciół dalej się jeszcze posuwają i wygotowują już plany co do tego, jak Niemcy będą za każdym razem, gdy zajdzie potrzeba, nęciły polaków na lep „odbudowania Polski“ bez niemieckich naturalnie prowincyj, a grając na tej strunie, zawsze mieć będą w tychże polakach materyał podręczny dla straszenia Rosyi i wywołania rozruchów w Polsce rosyjskiej.

Ale... prędko to się mówi, lecz nie tak prędko się robi. Zanim co będzie, czy nie czas może i nam pomyśleć na seryo, w jaki sposób zabezpieczyć nasze prowincye zachodnie od dalszego najazdu żywiołu przybyszów, i nam, i polakom wrogiego, w jaki sposób oczyścić je od niemieckiego napływu, który i dziś już w zawiślańskiej części Polski naszej rządzi się, jak szara gęś, i terytoryum owo uważa za niewątpliwy nabytek swego ogólno-niemieckiego *Vaterlandu* w niedalekiej przyszłości?

Oczywiście rząd niemiecki posiada niezaprzeczoną, prawną władzę przeprowadzania u siebie przedsięwzięć, skierowanych ku ubezpieczeniu państwa od wszelkich wrogich mu żywiołów; rościć pretensyi o to do niego nikt zapewne nie może. Dlaczegóż byśmy jednak i my nie mieli zająć podobnego stanowiska? Byłoby to zupełnie słusznem w stosunku do naszych własnych poddanych. Kłócić się z rządem niemieckim, ma się rozumieć, niewarto: zresztą jakieżby tu były powody do kłótni? Zapożyczmy tylko pięknego wzór od naszego dobrego sąsiada, i, jeżeli Niemcy, pozostając z nami w takim „przyjacielskim“ stosunku, nie krępowały się, co do zastosowywania u siebie pewnych środków względem naszych poddanych—czyżbyśmy nie mieli prawa tak samo postąpić względem Niemiec, wcale nienadwerężając przez to sojuszu „przyjacielskiego?

Czas nareszcie przedsięwziąć stanowcze środki do zatamowania przejścia gruntów na zachodnich kresach naszych do rąk niemieckich, tembardziej, że zgoła nic nas nie zabezpiecza przyjęcie nawet poddaństwa rosyjskiego przez takich właścicieli ziemskich. Wiadomo, że niemieckie prawo nie karci (nasz rząd, przeciwnie, karci) *podwójnego*, t. zw. poddaństwa; owszem tam ono zachętę otrzymuje. Podwójne to poddaństwo dla podobnych kulturtregierów bardzo jest pożyteczne: daje ono im możność korzystania u nas w czasie pokoju ze wszelkich dogodności i przywilejów rosyjskiego poddaństwa, chociaż nie przestają oni zarazem figurować na liście landwery niemieckiej, do której podwójny taki każdy poddany stawić się musi (i stawia się na pierwsze powołanie). Czas kres położyć tej obłudnej, dwulicowej brzydocie, zwłaszcza że liczba *podwójnych rosyjsko-niemieckich* poddanych w zachodnim kraju naszym z rokiem każdym wzrasta i wzrasta. Po co mamy oczy zamykać?

Cele niemieckie są jasne.“

W OBRONIE KRZYWDY.

Kraków, 10 czerwca.

Smutne wrażenie na uniwersytecie naszym zarówno w profesorskich, jak i studenckich kołach zrobił artykuł wstępny *Kraju* (nr 19). Znajduje się tam ustęp, krzywdzący nieszlachetnie pamięć człowieka w grobie już spoczywającego, dla wywyższenia chwały innych, wplątany tendencyjnie w treść ogólną. Ustęp ten domaga się odprawy w imię uczciwości naukowej. Artykuł poświęcony polskim, a przeważnie galicyjskim zakładom naukowym, żali się, „że katedry nasze przedstawiają synekury dla niedołęstwa, które nic wspólnego z nauką nie ma;“ dalej, że „pomimo, iż różne przedmioty naukowe wykładają się z katedry po lat kilkadziesiąt i przeto nie można się użalać na brak sposobności lub czasu na ułożenie kursów, przecież ani te kursy, ani ich części nie ukazują się w druku na widok publiczny; że piśmiennictwo nasze naukowe nie posiada ani kursu uniwersyteckiego fizyologii, ani chemii lub fizyki“ itp.; że „pracowanie naszych uniwersytetów są w najopłakańszym stanie, a w wielu wypadkach wcale nie istnieją.“

Rządy stańczykowskie pod wielu względami upoważniają do wyrzeczenia słów powyższych. Synekury u nas są — a o przykłady — byle nie na lekarskim wydziale — nietrudno. Jednak artykuł *Kraju* jeden tylko znalazł przykład na objaśnienie smutnego położenia — pisząc: „Świeży to przecież fakt, że profesor fizyologii po dwudziestoletnich wykładach w tym samym (tj. krakowskim) uniwersytecie przekazał potomności pustą pracownię, na którą od czasu do czasu otrzymywał subsydya i naturalnie, nie wykształcił ani jednego fizyologa;“ dziś poprawiły się już, zdaniem *Kraju*, w tym względzie stosunki, dzięki temu, że „niektóre gorliwsze i zdolniejsze jednostki z pomiędzy profesorów zakrzątnęły się około urządzenia pracowni, odpowiadających wymaganiom nauki dzisiejszej i oddały się bezpośredniej pracy nad młodzieżą.“ Tym szkodliwym i bezczynnym profesorem fizyologii ma być ś. p. Gustaw Piotrowski, prostującym zaś jego błędy następcą — prof. Cybulski b. asystent prof. Tarchanowa z Petersburga. Nie tu miejsce na biografię Piotrowskiego i na zarys stanowiska jego w nauce— ku pouczeniu obskuranta, czy też zadania kłamu oszczercy. Wystarczy na to parę treściwych przytoczeń, których nikt nie będzie mógł o stronniczość pomówić. Dość przejrzeć urzędowe sprawozdanie o zakładach naukowych Uniwersytetu Jag. (1864), żeby przekonać się, z jak bajecznie małymi środkami rozpoczął Piotrowski swą działalność, corocznie znaczoną powa-żnemi a co więcej samodzielnemi pracami z zakresu fizyologii, fizyki i chemii organicznej. Z otrzymywanej rocznej zapomogi 600 złr. doliczyć by się można każdego grosza w inwentarzach tej „pustej pracowni,“ z której wyszedł cały długi szereg prac profesora i uczniów. Prace te, porozrzucane po pismach fachowych, wydawnictwach Akademii Umiejętności, zagranicznych rocznikach i osobnych odbitkach, utworzyłyby w zestawieniu wiązankę, zdolną obudzić uszanowanie nawet bardzo (byle mniej niż tajemniczy autor *Kraju*) wymagającego krytyka. Tem dziwniejszy też wydaje się zarzut, jakoby Piotrowski fizyologa nie wykształcił. Gdyby nawet ten zarzut był istotnie słuszny — objaśniałby go zupełnie brak pola do pracy teoretycznej wobec istnienia jednej tylko w kraju katedry fizyologii. Ale zarzut ten słuszny nie jest; dość przypomnieć nazwiska b. asystentów Piotrowskiego, jak: prof. Domańskiego, docenta fizyologii ś. p. Zawilskiego, prym. szpit. lwow. Widmana, prof. Zarewicza, chemika szpit. lwow. ś. p. Żulińskiego, docenta Smoleńskiego— ludzi, którzy w nauce naszej na rozlicznych polach medycyny zajmują stanowiska godne i cieszą się zasłużonem u swoich i obcych uznaniem. Wszyscy oni wykonali pod kierunkiem i zachętą Piotrowskiego prace z zakresu fizyologii, niepośledniej wartości, przeważnie oryginalne a jedynie tylko brak warunków zewnętrznych, nie od nich ani od profesora zależnych, zwrócił ich z zapasem cennych zdobyczy teoretycznych na inne obszary działalności naukowej.

Wobec zarzutu nieogłoszenia swych kursów równie obronną ręką wychodzi Piotrowski. W r. 1865, a więc w epoce, w której fizyologia polska była w kolebce a broniący jej dziś w *Kraju* autor, może łamał się jeszcze z trudnościami wielkiego i małego alfabetu, ogłosił Piotrowski swe dzieło obszerne p. t. *Fizyologia ludzka w zarysie*, część I. Śmiało rzec, można, że to pierwszy i najlepszy oryginalny polski podręcznik dla uczniów, oparty na ścisłej metodzie badania, wzbogacony mnóstwem samodzielnych spostrzeżeń, a dziś jeszcze ceniony.

Nagrodą autora-wydawcy były straty pieniężne, dlatego część wstępna w druku nie wyszła. Wydali ją jednak uczniowie w odbiciu litograficznem. Z tych notatek niektóre, zwłaszcza, działy, lepszego zaprawdę godne losu, jak zaliczenia do *non sunt* w szpaltach *Kraju*. Znać tam jak Piotrowski, wyrobiony w szkole lub na wzorach takich mężów, jak Helmholz, Ludwig, Czermak, Brücke, Purkinje, Bunsen i Wöhler, przy pomocy matematyki wyższej, chemii teoretycznej i fizyki dążył do zbadania praw ogólnych i że pyłem lat dwudziestu okryte wyniki jego pracy ostoją się bezpiecznie wobec mrówczych zdobyczy zatopionego w drobiazgach technika-fizyologa. Ostatnie lata życia zatruły Piotrowskiemu klęski rodzinne, podkopała ciężka, śmiercią zakończona, choroba.

W tych warunkach musiał ucichnąć ruch w pracowni; ale myśl nie ustała do ostatniego wytchnienia, czego dowodem jest wielki rękopis z zakresu fizyki molekularnej, dzieło przerwane w połowie. Oto szczera, nieprzesadzona prawda.

M.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. W zeszłym i bieżącym tygodniu kilkakrotnie przedstawiano w Teatrze letnim najnowszą komedyę p. K. Zalewskiego p. t.: *Nasi zięciowie*. Dla braku miejsca sprawozdanie z tego zasługującego na szczególną uwagą utworu odkładamy do przyszłego numeru.

— Artyści trupy poznańskiej, skazani na 6-miesięczną włóczęgę rozporządzeniem rządu pruskiego, które aktorom obcym poddanym pozwala tylko w ciągu pół roku przebywać w granicach państwa pruskiego, osiedli na lato w teatrzyku Alhambra. Repertoar trupy poznańskiej, złożony przeważnie z utworów oryginalnych, korzystnie wyróżnia się od sztuk, granych w innych teatrzykach letnich.

Teatr rosyjski. Artyści moskiewscy ukończyli szereg zapowiedzianych przedstawień wyjątkami z dramatu Puszkina *Rusałka* i słynnej komedyi Grybojedowa *Gore ot uma* (Biada temu kto rozumny). Ostatnie przedstawienie nie doszło do skutku, z powodu otrzymania wiadomości o śmierci sławnego dramaturga A. N. Ostrowskiego.

Wystawa rolnicza otwarta została w d. 12 czerwca, właściwie jest to wystawa inwentarza, którego znajduje się kilkaset sztuk, mianowicie koni 103, bydła rogatego 240, trzody chlewnej 141 i owiec przeszło 200. Dorocznym zwyczajem podczas wystawy odbywają się narady hodowców.

Mapa przyszłości. W Wejmarze, nakładem instytutu geograficznego wyszła mapa, przedstawiająca „siedliska polaków na ziemi niemieckiej.“ Mapa ta obej-

muje, oprócz prowincyj wschodnich Prus, całe Królestwo i części gubernij kowieńskiej i grodzieńskiej. Znaczona jest trzema kolorami: czerwony oznacza polaków, niebieski — niemców, a biały — ludność podciągniętą pod nazwę „sonstige“ (wszelacy inni).

Emigranci polscy z 1863 roku, przebywający w Anglii i Francyi, zanieśli do rządu rosyjskiego zbiorową prośbę o amnestyę i pozwolenie powrotu do kraju. Odpowiedź brzmi, że prośby winny być podawane w imieniu każdej osoby oddzielnie, za pośrednictwem ambasad rosyjskich w Paryżu i Londynie.

Szkoła realna w Mińsku otrzyma w r. prz. 2 najniższe klasy, których jej dotychczas brakowało, koszt utrzymania tych klas ponosi miasto i obywatele okoliczni.

Za przykładem... Włościanie wsi Chojny obrazili się na korespondenta *Gazety świątecznej* i postanowili wytoczyć proces o dyfamacyę. Ponieważ jednak chłopi mają więcej zdrowego rozsądku, niż ich „inteligentni przewodnicy,“ dali sobie wytłomaczyć, że proces taki nie ma sensu. A szkoda, kilku bowiem wysortowanych, „po cenach niżej kosztu“ literatów spodziewało się zdobyć sobie rozgłos obroną szkalowanych.

Odkrycie geograficzne. *Kur. warszawski* w n-rze 160 *a.* szczęśliwie odkrył *stan* Chicago w Ameryce północnej. Dotychczas istniało tylko miasto tego nazwiska, położone w stanie Illinois.

Rektorem uniwersytetu jagielońskiego wybrany został prof. Stanisław Tarnowski.

Stacya rolnicza. Komitet Towarzystwa osad rolnych w myśl zapisu Kajetana Kickiego postanowił w dobrach Sobieszyn, w pow. garwolińskim urządzić Stacyę doświadczalną różnych amelioracyj rolnych. Kierunek tej stacyi powierzono b. prof. instytutu rolniczo-leśnego (Nowej Aleksandryi), T. Cichowskiemu.

Plantacye buraków w r. b. zajmują znacznie mniejszy obszar, niż w latach poprzednich, zmniejszyły się bowiem o 15,856 dzies. w Cesarstwie i 11,171 dzies. w Królestwie, co stanowi 6% i 23% przestrzeni w r. z. pod buraki uprawionej.

Taryfa telegraficzna znowu została zmienioną. Obecnie, bez względu na rozległość płacić należy 5 kopiejek od wyrazu w Rosyi europejskiej i 10 kop. w Rosyi azyatyckiej, oprócz tego 15 kop. od każdej depeszy.

Cukrownictwo. W ciągu kampanii 1885/6 r. w 241 czynnych cukrowniach wyrobiono 2,364,000 pudów rafinady, 22.280,000 pudów piasku cukrowego. W fabrykach pracowało 93,392 osób, mianowicie: 78.479 mężczyzn, 12,009 kobiet i 2,907 dzieci.

— W Królestwie pracowało 16,628 robotników, którzy wyrobili 1,626,000 pudów rafinady i 1,663,000 pud. mączki.

Fiskalizm austryacki. Znany anatom, prof. Hyrtl, z okazyi swego jubileuszu ustanowił stypendyum, na które ofiarował 45,000 guldenów. Od zapisu tego skarb kazał mu zapłacić 3500 guldenów podatku, co tak oburzyło profesora, że dar cofnął.

Pierwsze kolonie niemieckie powstają w powiecie w powiecie brodnickim w Prusach zachodnich, rząd bowiem zamierza tam nabyć dwa majątki polskie: Niewierz i Przydatki, rozległości 2,850 morgów.

Spadek. *Kur. warsz.* donosi, że po jednym z niedawno zmarłych dygnitarzy kościelnych pozostał wspaniały zbiór... książek, dzieł sztuki, starożytności itd...? Nie!.. rozmaitych gatunków starego wina...

Statystyka. Warszawa posiada 106 księgarń, 60 drukarń, 51 zakładów litograficznych, 17 czytelń, 10 stereotypowni i 6 giserni.

Zmarli. A. N. Ostrowskij, znakomity dramaturg rosyjski.

— Bożydar Raic, wybitny przewódca ludu słoweńskiego, członek austryackiej Rady państwa.

— Ludwik Sztyrmer. Urodzony w 1809 r., po ukończeniu szkół wstąpił do wojska rosyjskiego i dosłużył się stopnia generała. Przed 40 laty powieści Sztyrmera, wydawane pod imieniem żony jego Eleonory, zdobyły sobie niemały rozgłos. Po większej części są to utwory humorystyczno-fantastyczne; do najcelniejszych należą: *Pantofel, Frenofagiusz i Frenolesty, Powieści nieboszczyka pantofla, Kataleptyk, Światła i cienie* i t. d. Sztyrmer pisywał wiele w *Tygodniku petersburskim*, chociaż przekonań tego pisma nie podzielał. Jego *Listy z Podlasia* przez Gerwazego Bombę, kierunkiem liberalnym wyróżniają się od innych prac, zamieszczanych w Tygodniku. W ostatnich latach Sztyrmer przestał pisać, czy też może drukować tylko, swe utwory. W wielu podręcznikach historyi literatury figuruje nazwisko Eleonory Sztyrmer, jako autorki wymienionych dzieł.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Іюня 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.